



BONNIE TUCKER



Bajaderki Hanny Hart

ROZDZIAŁ PIERWSZY



Hanna Hart ujęła mocno mosiężną klamkę u drzwi, zerkając na tabliczkę z napisem „Burmistrz Ada Hart”. Ponad głową recepcjonistki spojrzała raz jeszcze z wysokości dwóch pięter na znajdujący się na dole parking. Na pierwszy rzut oka mógł wydawać się najzwyklejszym w świecie placem o betonowej nawierzchni, z miejscami oznaczonymi biało namalowanymi liniami, wypełnionym samochodami w różnym wieku, o najprzeróżniejszych kształtach i kolorach.

Zainteresowanie, jakim obdarzała go Hanna, zawdzięczał pewnemu nieszczęsnemu czerwonemu samochodowi, stojącemu w drugim rzędzie.

- Przecież nie zrobiłam tego specjalnie - mruknęła do siebie. - Cofanie nigdy nie było moją specjalnością.

W gabinecie burmistrza powitało ją oślepiająco jasne światło, wpadające przez wielkie, zajmujące całą ścianę okno. Jej matka stała pośrodku, przecinając swoją sylwetką widok parkingu. Hanna postąpiła kilka kroków i wtedy zobaczyła mężczyznę, siedzącego tyłem przy biurku. Zatrzymała się, nieznajomy podniósł się z miejsca, a Hanna przestała oddychać.

Po chwili dotarło do niej, że chociaż popełniła w życiu mnóstwo błędów, najwidoczniej musiała jednak dokonać też czegoś niezwykłego, gdyż oto zobaczyła przed sobą nagrodę.

Nazwać go przystojnym byłoby grubo za mało. Stał przed nią najwspanialszy, najbardziej pociągający samiec, jakiego kiedykolwiek miała szczęście ujrzeć. Na jego widok serce Hanny zabiło mocniej.

Najgorsze, że nieznajomy poprawił od niechcienia krawat i spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: „Dobrze o tym wiem, maleńka, i mogę sprawić, że zaczniesz walić jak młotem”.

Miał dość długie, ciemne włosy, sięgające prawie do kołnierzyka koszuli. Jeden kosmyk opadł mu na oczy, a ją kusiło, żeby wyciągnąć rękę i odgarnąć go. Potem otarłaby się o niego, jakby była kotem, a on kanapą, następnie zerwałaby z niego ubranie i dała ponieść się temperamentowi.

Nie zrobiła tego jednak, gdyż była dobrze wychowana, nieśmiała i przede wszystkim dlatego, że tuż obok znajdowała się jej matka.

O Boże, matka! Szybko odwróciła się ku posągowej postaci z nienaganną fryzurą i w nieskazitelnie białym kostiumie, która stała spokojnie i przyglądała się jej bez słowa. Matka nigdy nie gapiłaby się w ten sposób na mężczyznę. To by świadczyło o złym smaku i braku klasy.

- Spóźniłaś się, kochanie - odezwała się pani burmistrz spokojnym, wystudiowanym tonem, w którym tylko z lekka pobrzmiwał południowy akcent.

Hanna minęła nieznajomego, podeszła do matki i pocałowała ją w policzek.

- Nie mogłam wcześniej - szepnęła, patrząc jednocześnie na parking, gdzie czerwony mustang prezentował swój przefasonowany przód. Miała

nadzieję, że matka, kiedy już zobaczy ten samochód, nie zapomni o fakcie, że łączą je więzy krwi.

Ada spojrzała w tym samym kierunku i nagle ścisnęła ramię córki tak mocno, że paznokcie niemal wbiły jej się w skórę poprzez ubranie. Dzięki temu Hanna zrozumiała bez słów, że rezultat jej działalności nie pozostał nie zauważony.

- Znowu? - syknęła Ada. - Jak mogłaś? Hanna sama tego nie wiedziała.

- To był przypadek.

- Czy mógłbym w czymś pomóc? - odezwał się książę z bajki głębokim, niskim głosem, który zdawał się wypełniać całą pustą przestrzeń w pokoju.

Pomyślała, że mogłaby posłać go na dwór z łopata, żeby wykopał dla niej dół, do którego wpełzłaby w pokorze. Taka kara nie byłaby całkiem zła, gdyby on zdjął przy tym koszulę. Pokryte potem mięśnie lśniłyby w słońcu i grały w rytm jego ruchów. Gotowa była postawić w zakład koszt następnej polisy ubezpieczenia samochodu, o ile jeszcze ktokolwiek zechce jej takową wydać, że pod tym ubraniem kryją się potężne bicepsy. Czy to naprawdę zbyt wiele, gdyby poprosiła, żeby pozwolił jej patrzeć, jak naprężają się i lśnią w słońcu? Zdecydowanie nie. W końcu jej też się coś należy, żeby mogła przestać myśleć o tych wszystkich rzeczach, które jej się nie udały.

- Tak - odparła bez namysłu.

- Nie - odezwała się matka, rzucając jej ostrzegawcze spojrzenie.

Mężczyzna zachichotał cicho. Co by było, gdyby wiedział, że ona właśnie snuje rozważania na temat jego fizycznych atrybutów? Lepiej nie;

zbytnią dociekliwość nie jest zbyt dobrze widziana u kobiet, ani w Sugar Land, ani gdzie indziej.

- Więc to jest właśnie pani córka, o której przed chwilą rozmawialiśmy?

Księżę podszedł do Hanny i wyciągnął dłoń, a ona stała, wpatrując się w nią, jakby straciła mowę. Chciała powiedzieć coś dowcipnego, oryginalnego, ale słowa na zawsze utknęły głęboko w gardle.

- W rzeczy samej - powiedziała Ada dość cierpko i szturchnęła dyskretnie córkę. To wystarczyło, żeby przywrócić ją do życia. - Moja droga, przedstawiam ci pana Chance'a McCoya. Właśnie objął u nas stanowisko dyrektora do spraw parków i terenów rekreacyjnych, na miejsce Gusa Rappaporta, który - jak wiesz - poszedł na urlop wychowawczy.

Mężczyzna ujął jej dłoń i potrząsnął nią mocno. Powstrzymała westchnienie, kiedy poczuła ciepło emanujące z jego skóry.

- To wielka dla nas ulga, że jest ktoś, kto zastąpi Gusa, żeby mógł zająć się domem i dzieckiem - powiedziała Hanna dziwnym, nieswoim głosem.

- Idziecie z duchem postępu, jeśli ojcowie też mogą korzystać z urlopów wychowawczych.

- Prawda? Nawet zdarza się, że w drodze wyjątku udzielamy ich matkom.

- Jestem pod wrażeniem - odparł poważnie, przez cały czas mierząc ją wzrokiem. Jego spojrzenie wędrowało powoli w dół, wzdłuż szyi, piersi, bioder aż do stóp, by po chwili znów powrócić w górę. Wszędzie tam, gdzie spoczął jego wzrok, czuła mrowienie i miała wrażenie, jakby stała przed nim naga..

Była zadowolona, że włożyła ten granatowy kostium, a nie obcisłą sukienkę.

- Proszę, usiądźcie oboje.

Rzeczowy głos matki przywołał ją z powrotem na ziemię. Przysunęła krzesło i usiadła obok pana McCoya.

- Z jakiego stanu pan pochodzi? - spytała uprzejmym tonem. - Nie słyszę w pana wymowie żadnego obcego akcentu - dodała, pamiętając, że czerwony mustang miał tablice rejestracyjne ze stanu Wirginia.

- Wychowałem się w Chicago.

Udało jej się powstrzymać głośnie westchnienie ulgi.

- Jednak nie mieszkam tam od dawna - mówił dalej przybyły, a ona poczuła, że oto nadchodzi najgorsze. Wyobraziła sobie, że jest Marią Antoniną prowadzoną na szafot i zaraz uklęknie przed gilotyną i wypowie ostatnie słowa. „Przepraszam, to naprawdę było niechcący”.

- O, naprawdę? A gdzie pan mieszkał ostatnio?

- W Wirginii.

Ostrze opadło ze świstem. Pomasowała sobie kark, jakby miała zamiar upewnić się, czy głowa jest dobrze przytwierdzona na dawnym miejscu. Nie, to chyba nie jest odpowiednia chwila, żeby oznajmić mu, że jego stary mustang poddany został lekkiej przeróbce. Wiedziała już z całą pewnością, że to musi być jego wóz, gdyż nikt inny w Sugar Land nie miałby rejestracji z Wirginii. Koniec marzeń o lśniącej od potu piersi i grających bicepsach. Albo wspólnych upojnych chwilach na hamaku. Kiedy on wyjdzie na parking i zobaczy swój samochód, zacznie ścigać ją jak szalony, ale na pewno nie w celach seksualnych. Nie znaczy to wcale, że ona zgodziłaby się na tamto - zresztą nawet nie ma hamaka - ale przyjemnie byłoby pomarzyć, że on o to błaga, a ona mu odmawia.

Chance McCoy przyglądał się Hannie siedzącej prosto na krześle; jej długim nogom o szczupłych kostkach, dłoniom, które nerwowo raz po raz wygładzały spódnice, a potem kurczowo chwyciły leżącą na kolanach torebkę.

Trzy dni temu jego szef, Jim Mitchell, przekazał mu niepomysłną wiadomość. Miał odłożyć wyjazd na tak długo już wyczekiwany wypoczynek na meksykańskich plażach i to po raz czwarty w tym roku. Żegnajcie palmy, egzotyczne koktajle i uśmiechnięte panienki w strojach topless. Zamiast tego otrzymał zlecenie wyjazdu do Sugar Land, żeby pomóc miejscowemu komendantowi policji, który znał się z jego szefem od dziecka, a teraz znalazł się w nie lada kłopotcie. Odkrył, że jego spokojne miasteczko stało się okręgowym centrum rozprowadzania narkotyków.

Chance zdawał sobie sprawę, bez fałszywej skromności, że jest najlepszym agentem od spraw narkotyków, ale tym razem nie był zachwycony miejscem, gdzie przyszło mu pracować. Jego żywiołem było miasto, pełne samochodowych spalin, z betonowym labiryntem ulic. Świeże powietrze powodowało u niego czkawkę.

Największe sukcesy odnosił dzięki niewytłumaczalnemu szóstemu zmysłowi, z którym, zdaje się, przyszedł na świat, i który podpowiadał mu zawsze, kiedy wpadał na ślad handlarzy narkotyków. Mógł wtedy zogniskować wysiłki na konkretnym celu i nie potrzebował nawet tygodnia, by zakończyć sprawę. Sugar Land też będzie kaszką z mleczkiem.

Szósty zmysł podpowiadał mu także, co sądzić o kobietach. Na przykład teraz, kiedy siedział obok tej Hanny, wiedział z całą pewnością, że jest czysta, niewinna i uczciwa. Pewnie nigdy nie przeklina, nie

przechodzi przez jezdnię przy czerwonym świetle i być może nawet nie miała mandatu za niewłaściwe parkowanie. Jedno spojrzenie i już wszystko o niej wiedział. Także i to, że jest dziewicą i że na pewno nie myśli o takich przyziemnych rzeczach jak seks.

Wielka szkoda, gdyż na przykład jej pełne, zmysłowe wargi wyglądały jak stworzone do całowania. I wiele by dał, żeby zobaczyć ogień namiętności rozpalający te wielkie, złotawe oczy. Jednak najbardziej pociągała go myśl o wspaniałych, ogniście rudych włosach, rozsypanych na jego poduszce. Chciał, żeby ona wyczytała to wszystko w jego oczach, żeby wiedziała, jaką ma na nią ochotę.

Niestety, obok siedziała jej matka, a ona na pewno miałaby zastrzeżenia co do metod, jakimi chciał zabawić jej córkę. Zresztą sam obiekt zainteresowania nie zwracał na niego uwagi, tylko co chwila zerkał przez okno na parking, jakby tam było coś ciekawego, bardziej pociągającego niż on sam. Ubodło go nieco to stwierdzenie.

- Pewnie nie wiedziałaś, że pan przyjechał tu samochodem aż z Wirginii? - odezwała się Ada.

- Nie, ale chyba bym zgadła - odparła jej córka, obdarzając go ciepłym uśmiechem.

- Powinien był pan go tutaj przesłać - mówiła dalej Ada. - Zawiadomiliśmy pana, że to załatwimy.

- Nie używałem samochodu przez całą zimę i musiałem teraz nim się nacieszyć - powiedział, wracając na moment myślą do minionych miesięcy, kiedy udawał bezdomnego w Harlemie, zmuszony żyć na ulicy, sypiać na klatkach schodowych lub w opuszczonych, pełnych szczurów ruderach. - Uwielbiam szybką jazdę, no i poza tym jestem do niego bardzo

przywiązany. Nigdy nie powierzyłbym go firmie przewozowej. Oni nie dbają za bardzo o cudze mienie i mogliby go uszkodzić czy porysować.

Obie słuchały go z uwagą. To mu się nawet podobało. Widocznie w Teksasie kobiety wychowane są w ten sposób, że mają wsłuchiwać się w słowa mężczyzny. Tyle dlaczego one wymieniały przy tym spojrzenia, których nie zrozumiał? Zazwyczaj czytał ze spojrzeń ludzi jak z nut, ale tym razem być może chodziło o coś specyficznego, jakiś sposób porozumiewania się między matką i córką.

- To ford mustang z 1965 roku - oznajmił z dumą. - Prawdziwy klasyk, teraz już takich nie produkują.

- Doprawdy? - spytała Hanna i zagryzła wargi.

Dość dziwna reakcja jak na jego gust. Znow odniósł wrażenie, że przesyłają sobie z matką jakieś sygnały.

- Pora wracać do interesów - powiedziała Ada stanowczym tonem. - Niestety, jest pewien problem z tym domem, który moja sekretarka wynajęła dla pana.

- Problem? - Nie chciał słuchać o żadnych problemach. Marzył jedynie o gorącej kąpiel, zimnym piwie i łóżku.

- Trzy dni temu wybuchł pożar i dom spłonął doszczętnie.

- Ale rozumiem, że nie była to jedyna możliwość zakwaterowania mnie?

- Wie pan, że jestem burmistrzem. Zawsze i we wszystkim muszę mieć jakąś alternatywę. Dlatego właśnie poprosiłam tu moją córkę. Ma do wynajęcia mieszkanie nad garażem.

- Mamo, kazałaś mi pędzić jak wariatce przez całe miasto, żeby zaproponować coś takiego? - spytała Hanna z niedowierzaniem w głosie.

Na policzkach wystąpiły jej wypieki. - To miała być ta gardłowa sprawa i dlatego pytałaś się, czy jestem odpowiednio ubrana?

- Kochanie, sądziłam, że to naprawdę ważne.

- Gdybyś powiedziała, o co chodzi, zamiast kazać mi śpieszyć się jak do pożaru - a sama wiesz, co się dzieje, kiedy się zdenerwuję - od razu poznałabyś moją odpowiedź, która brzmi „nie”. To nie wchodzi w rachubę - dodała, odwracając się do McCoya.

- Nie przyjmuję takiej odpowiedzi. Przemyśl to jeszcze raz - rozkazała jej matka.

- Dałam ogłoszenie do gazety i było kilka telefonów - odparła Hanna.

- Ogłoszenie ukazuje się już od pół roku i tak naprawdę nikt nie był zainteresowany. A tu masz kandydata podanego na tacy.

- Właśnie, dobrze powiedziałaś. Nikt nie był zainteresowany, więc i ten pan nie będzie.

- Jestem pewna, że będzie - powiedziała Ada zimnym tonem. - Nalegałam na twój przyjazd, żebyś sama mogła stwierdzić, czy się nadaje.

- Czy ja się nadaję? - On, Chance McCoy miałby się nie nadawać? Nigdy zresztą nie zdarzyło mu się, żeby ktoś stwierdził, że zaledwie „nadaje się”. Zawsze czuł się mile widziany, a nawet pożądanym.

- Dobrze. Przyjechałam, spotkałam go i uważam, że się nie nadaje. Nie nadaje? O, niedoczekanie. Żadna panienka o wyglądzie przerośniętej licealistki nie będzie mu mówiła, że się nie nadaje!

- Hanno! - powiedziała jej matka ostrzegawczo. - Chętni lokatorzy nie spadają codziennie z nieba. Nie masz wyboru. Musisz go zaakceptować.

- Nie o to chodzi, że mam coś przeciwko panu - zaczęła wyjaśniać Hanna, odwróciwszy się wreszcie w stronę mężczyzny. - Ale to prawda, co powiedziała mama - już od dłuższego czasu bezskutecznie poszukuję współlokatora. To prawie tak trudne, jak znalezienie męża. Trzeba być idealnie dobranym, nie sądzi pan? Zwłaszcza że moje mieszkanie jest niezbyt duże. Nie, nie. Nie ma o czym mówić. Pan się nie nadaje - powtórzyła, patrząc na jego długie nogi i szerokie ramiona i wiedząc, że nadaje się jak mało kto.

- Wszystko, czego potrzebuję, to łóżko - powiedział, patrząc na nią. - Jakiegokolwiek łóżko, nawet w najmniejszym mieszkaniu, będzie mi odpowiadało.

- Nie, to niemożliwe.

Zerknęła na matkę, która przyglądała jej się z niedowierzaniem. Nie miała jednak zamiaru ugiąć się pod presją. Zresztą wiedziała, co się stanie, jeśli on wprowadzi się do niej. Odkryje wszystkie jej tajemnice i użyje tego przeciwko niej, tak jak zrobił to Dave. Dave też był z daleka. A teraz nie żyje. Nie, nie dopuści, żeby tamto się powtórzyło. O ile będzie miała na to jakiś wpływ.

- Moja droga, pan musi wprowadzić się dziś po południu. Tak naprawdę, to o co ci chodzi?

- O nic.

Matka doskonale wie, o co chodzi. Przede wszystkim o to, tam, na parkingu. Poza tym chodziło o jej serce - tak łatwo można było je złamać.

- Zależy mi jedynie na pana wygodzie.

- Potrzebuję tylko łóżka, żebym mógł się wyspać - powtórzył, patrząc na nią w sposób bez wątpienia uwodzicielski.

Wyobraziła go sobie, jak leży na łóżku i nie ma nic na sobie. Jeszcze raz zerknęła przez okno, zastanawiając się, jakim cudem on nie zauważył zmian w wyglądzie swojego samochodu. No cóż, może taki dyrektor od parków rozglądając się wokoło, widzi tylko drzewa i ptaki. Jednak tak czy owak dowie się wkrótce. Wyjdzie stąd, podejdzie do swojego zdezelowanego samochodu, wyjmie zza wycieraczki jej wizytówkę i będzie wiedział, że oto ona, Hanna Hart, jest sprawczynią zła.

Dobre sobie! Bała się, co się stanie, kiedy on zamieszka u niej. Przecież po czymś takim nie będzie chciał mieć z nią nic wspólnego. Może więc bez obawy zgodzić się na żądanie matki, bo kiedy Chance się dowie, co zrobiła z jego ukochanym samochodem, będzie wolał nocować na ławce w którymś ze swoich nowych parków niż z nią pod jednym dachem. To najlepsze, co pozostaje jej w tych okolicznościach.

- Poddaję się. Muszę przyznać, że oboje macie rację. - Obdarzyła McCoya promiennym, acz fałszywym uśmiechem. - Nie wiem, dlaczego tak bardzo starałam się pana zniechęcić. Proszę dać mi trochę czasu, żebym mogła przygotować wszystko na pana przybycie.

Wstała pośpiesznie. Chance również zerwał się na nogi. Wyciągnęła do niego rękę, a kiedy on jej dotknął, poczuła ciarki przechodzące przez całe ciało. Jaka szkoda, że to skończy się, zanim w ogóle się zaczęło.

- W takim razie zobaczymy się po południu - powiedział, a w jego głosie pobrzmiwała jakaś obietnica.

- Na pewno.

Chance patrzył za nią, myśląc o tym, że zawsze trzymał się zasady, żeby nie łączyć pracy z przyjemnościami. No cóż, może chociaż sobie pomarzyć. A gdyby tak udało mu się namówić tę panienkę, żeby zechciała towarzyszyć mu w niezobowiązującym wypadzie do Meksyku?

Oczywiście po zakończeniu zadania, jakie go tu sprowadziło. Wtedy pokazałby jej, co to znaczy prawdziwy mężczyzna.

Wyjął długopis i notes, po czym otworzył go i czekał, gotowy zapisać adres.

- Pan jest przyzwyczajony do działania w wielkich miastach, obawiam się więc, że nasze problemy z narkotykami uzna pan za mało istotne - odezwała się Ada Hart.

- Zawsze, jeśli chodzi o narkotyki, podchodzę do sprawy bardzo poważnie, niezależnie od wielkości miasta - odparł z przekonaniem.

- Może tak, a może nie. Powiem panu szczerze, że ja chciałam, żeby zajął się tym ktoś z naszego stanu, ale Clayton upierał się, że to musi być pan. No i on wygrał.

Widać było, że jest z tego niezadowolona. Chance nie miał zamiaru tłumaczyć się przed nią ani zachwalać swoich walorów, nawet jeśli była burmistrzem. Niech raczej przemawiają za nim jego osiągnięcia. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent skuteczności w ciągu dziesięciu lat działalności jako tajny agent. Nie udało mu się tylko raz, jeszcze na samym początku, w Filadelfii, ale to już nigdy się nie powtórzy.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, aż w końcu przerwała ją Ada.

- Nie chodzi o to, czy pana lubię, czy nie. Nie znam pana na tyle, żebym zdążyła pana znieubić. Na razie. Może mi pan wierzyć, że nie chodzi mi o jakieś osobiste uprzedzenia. Po prostu z zasady staram się dawać zatrudnienie miejscowym obywatelom, a pan nawet nie jest z Teksasu i nie rozumie pan naszych obyczajów. Pan nie będzie tutaj pasował i jestem pewna, że ta cała tajna operacja, do której przygotowujecie się z Claytonem, zakończy się fiaskiem. A wtedy będzie jeszcze gorzej, niż gdyby w ogóle się nie odbyła.

- Jestem jak kameleon, potrafię dopasować się wszędzie.

- Ale nie w Teksasie. Macie inną wymowę, jadacie inne potrawy, nawet wyglądacie jakoś inaczej.

- Pani nie jest zadowolona z mojego przyjazdu, ale ja też bynajmniej nie jestem tym zachwycony - powiedział Chance. - Niestety, przyszło nam współpracować i nie mamy innego wyjścia. Właśnie miałem wyjechać do Meksyku na długo odkładany urlop, ale zamiast tego przybyłem tutaj, żeby oddać przysługę pani komendantowi policji oraz mojemu szefowi. Jak pani myśli, co bym zrobił, gdybym mógł wybierać?

- Między Meksykiem a Sugar Land? Oczywiście, że wybrałby pan naszą słynną mieścinę.

- W tym wypadku niepotrzebny mi mój szósty zmysł, żeby wiedzieć, dlaczego panią wybrano na burmistrza - odparł ze śmiechem.

- O właśnie, o tym też chciałam z panem porozmawiać. Clayton opowiadał mi o pana zdolnościach, o tym, jak posługuje się pan intuicją. Czy ona pracuje przez cały czas? Na przykład w tej chwili? Ot, tak? - spytała i strzeliła palcami.

- Rzeczywiście pracuje przez cały czas, ale może nie aż tak szybko - odparł, czując coś dziwnego, czego niestety nie potrafił sprecyzować.

- Gdyby więc wydarzyło się coś złego, co dotyczyłoby pana, wiedziałby pan o tym?

- Oczywiście. Na tym polegają moje zdolności.

- A teraz? Czy coś pan czuje?

- Nie.

- Tak przypuszczałam - powiedziała Ada Hart z westchnieniem.

Przez moment patrzyła przez okno, po czym znów zwróciła się do niego. - Wytłumaczę panu, jak dojechać do domu Hanny.

Parę minut później Chance stał na parkingu i wpatrywał się w strzaskane przednie światła swojego biednego mustanga. Czuł ogarniający go strach. Od wypadku w Filadelfii minęło właśnie dziesięć lat - dziesięć lat, od kiedy instynkt go zawiódł.

Zauważył kartonik za wycieraczką. Sięgnął po niego i przeczytał: „Hanna Hart dostarczy swoje bajaderki, kiedykolwiek będziesz potrzebował”.

Hanna uszkodziła mu samochód? A on siedział tuż obok niej i niczego się nie domyślał? Dotykał jej ręki, patrzył jej w oczy i instynkt nic mu nie podpowiedział.

Dokładnie tak, jak w Filadelfii.

Była taka młoda - dwadzieścia dwa lata. Wysoka, szczupła, wspaniale zbudowana blondynka. Zakochał się w niej natychmiast, od pierwszego wejrzenia. I nic nie przeczuwał aż do chwili, kiedy zobaczył wycelowany w siebie rewolwer.

Dawno, dawno temu zdarzyło się, że instynkt go zawiódł. Poprzysiągł sobie wówczas, że nigdy więcej do tego nie dopuści.

I zamierzał dotrzymać obietnicy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kuchnia mieściła się z tyłu domu i radio właśnie grało na cały regulator, ale i tak Hanna usłyszała, że nadjeżdża.

Charakterystyczny odgłos trących o siebie blach nie mógł pochodzić z żadnego innego samochodu, tym bardziej że jej sąsiad z przeciwka właśnie naprawił wreszcie przednie drzwi swojego cadillaca.

Przestała mieszać gęstą, czekoladową masę, wyjęła z niej drewnianą łyżkę i nasłuchiwała, czując, jak ze zdenerwowania zaczyna ją boleć brzuch. Mustang zbliżał się nieubłaganie, aż wreszcie jego silnik zamilkł tuż pod domem, przedtem wydając kilka głośnych prychnięć i przeraźliwy świst. Drzwi samochodu otworzyły się ze zgrzytem, a potem zatrzasnęły gwałtownie.

Hanna upuściła łyżkę, która plasnęła o stół kuchenny, zostawiając wokoło czekoladowe plamy. Pośpiesznie wytarła stół, umyła ręce i otarła je o spodnie, a następnie pobiegła do drzwi wejściowych. Po drodze przystanęła jednak na moment, żeby podejść do okna i ukradkiem wyjrzeć na zewnątrz.

Cóż mogła poradzić na to, że na widok tego mężczyzny kręciło jej się w głowie? Po raz któryś z kolei stwierdziła, że to bez wątpienia najbardziej pociągający właściciel samochodu, jaki zdarzyło jej się uszkodzić.

Chance spacerował niecierpliwie tam i z powrotem z rękami w kieszeniach i przyglądał się otoczeniu. Lubił takie białe domy, a zwłaszcza zielone trawniki na ich tyłach. Nigdy nie zapomni, że po raz pierwszy kochał się z dziewczyną na takim właśnie trawniku.

Przy drzwiach frontowych wisiał staroświecki dzwonek. Pociągnął mocno za sznurek, a głośny dźwięk wystraszył siedzące na drzewach drozdy, które odfrunęły z łopotem skrzydeł.

Niepotrzebny był mu szósty zmysł, żeby wiedzieć, że Hanna przygląda mu się zza firanki. Jeszcze raz szarpnął za sznurek przy dzwonku. Niech sobie patrzy, pomyślał. Jestem cierpliwy. Założył ręce na piersi, oparł się tyłem o drzwi i przymknąwszy oczy, zaczął wyobrażać sobie, jakie wyszukane tortury zastosuje, żeby ukarać ją za to, że przez nią stracił - choćby nawet chwilowo - swoją najważniejszą zdolność. Intuicję.

Chyba jednak był bardziej zmęczony, niż sądził, gdyż nagle okazało się, że to on jest torturowany jej widokiem w skąnym bikini na rozpalonej słońcem plaży. Właśnie zastanawiał się, jak rozwiązać sznureczki kostiumu, kiedy drzwi otworzyły się szeroko, a on z głośnym hukiem wylądował na podłodze holu.

- O, pan McCoy? - spytała Hanna z niewinną miną. - Jak to miło, że pan wpadł.

- Dzięki.

Przekręcił się, opierając na łokciu, i zmierzył ją wzrokiem od czubków paznokci u bosych stóp aż do wpatrzonych w niego oczu koloru topazów. Zapraszającym gestem poklepał posadzkę obok siebie.

- Proszę usiąść, niech się pani czuje jak u siebie w domu.

- Myślałam, że ta kwestia będzie moja. Pan pozwoli - dodała, wyciągając do niego rękę.

Nie potrzebował jej pomocy, ale przyjemnie było poczuć w dłoni jej szczupłe, gładkie palce. Starał się, żeby ten dotyk nie trwał zbyt długo. Stał tak blisko niej, że czuł słodki zapach, jakby wanilii i jeszcze czegoś nieuchwytnego. Na jej nosie i policzkach zauważył delikatną siateczkę

piegów. We włosach naliczył chyba z sześć odcieni rudości, ale nie było ani śladu ciemniejszych odrostów. Dziwne, kobiety zawsze mają odrosty, tylko nie ona. Puścił jej rękę i wyszedł na dwór, gdzie przez chwilę stał, oddychając świeżym powietrzem. Hanna podążyła za nim, zamykając za sobą drzwi.

- Gorąco dziś, prawda?

- I owszem - odparł, spoglądając przez krzaki w kierunku, gdzie stał zaparkowany jego nieszczęsny mustang. Wszystko jedno, jakich tajemnych zaklęć użyła dziś rano, żeby pokonać jego siłę, to i tak nic nie pomoże. Przyjechał tutaj, żeby wykonać zadanie, i nic go nie powstrzyma. Nic i nikt.

- Chodź ze mną - rozkazał, bezceremonialnie przechodząc z nią na „ty”. Zeskoczył z ganku, pokonując po trzy stopnie na raz.

- Dokąd idziemy? - spytała, posłusznie udając się w ślad za nim. - Pytam, bo akurat jestem trochę zajęta. Może lepiej dam ci klucz, jeśli nie zmieniłeś zdania co do zamieszkania tutaj i będziesz mógł spokojnie się rozpakować...

- Chciałbym, żebyś obejrzała mój samochód – przerwał jej.

- Och, to chyba nie jest konieczne.

- Tak sądzisz?

- Oczywiście. Już go widziałam. Wyglądał bardzo ładnie.

- To właśnie chciałem podkreślić. „Wyglądał”.

- Rozumiem, co masz na myśli. W tamtych latach ta linia była bardzo nowoczesna, ale do tej pory zdążyła się opatrzeć. Widziałeś, jakie teraz produkują samochody? Niskie, wydłużone, o opływowych kształtach. Myślałeś o tym, że warto by kupić wreszcie nowy? Twój to już naprawdę rzęch.

- Nie był rżęchem, dopóki go nie rozbiłaś! - wybuchnął, po czym odwrócił się i ze złością poszedł do samochodu.

- Rozbiłam? Ja bym tego tak nie określiła. Tylko leciutko go puknęłam moim Czołgiem. Nazwałam tak swoje volvo, podoba ci się? Czy twój mustang też ma jakąś pieszczotliwą nazwę?

Nie, to chyba jakiś senny koszmar. Trzeba temu natychmiast położyć kres. Nikt nie będzie bezkarnie kpił z Chance'a McCoya.

- To jest bardzo rzadki model. Mustang Shelby z 1965 roku. A to, co z nim zrobiłaś, na pewno nie było puknięciem.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Nawet powiedziałam wtedy do siebie, kiedy cofałam się i nagle uderzyłam w twój błotnik... no bo właściwie go nie widziałam... jaka szkoda, że on na dodatek jest spoza Teksasu.

- Tak powiedziałaś?

- Właśnie. A wtedy przyszedł Simmons, to znaczy posterunkowy i powiedział: „Nie, tylko nie to”. Nie bardzo mogłam się wypierać, bo rzeczywiście dotknęłam go zderzakiem - tylko trochę, nie sądziłam, że będzie tak wyglądał. Musiałam uspokoić jakoś Simmons, żeby przestał się denerwować, bo on ma słabe serce, a to był mój dziewiąty raz w tym roku, ale powiedziałam, żeby się nie martwił, jakoś to zatuszujemy...

- Zaraz, zaraz. - Chance uniósł rękę w górę, nie dowierzając własnym uszom. - Powiedziałaś „dziewiąty”? Miałaś dziewięć wypadków?

- No cóż, zgadza się. Wiesz, posterunkowy Simmons ma słabe serce i nie cierpi pisania protokołów. Dysleksja, rozumiesz? Dlatego właśnie zawsze każą mu pilnować parkingu. To znaczy nie z powodu dysleksji, tylko serca. Na tym parkingu zawsze panuje spokój - parkują tam sami

sędziowie, radni, urzędnicy, no i każdy może wyrzeć przez okno, żeby sprawdzić, co się dzieje z jego samochodem...

- Słuchaj, Hanno... - Chance próbował bezskutecznie coś wtrącić, kiedy brała oddech.

- Powiedziałam mu więc, że zostawię wizytówkę za wycieraczką i sama zajmę się wszystkim.

Patrzyła mu prosto w oczy, zadzierając w górę ten swój już i tak zadarty, upstrzony piegami nos. Uśmiechała się promiennie, jakby czekała na nagrodę albo co najmniej na pochwałę za dobre sprawowanie. Akurat!

- Chcesz mi powiedzieć, że policjant puścił cię bez słowa?

- Oczywiście. Dlaczego nie miałyby tak zrobić?

- Bo miałaś dziewięć wypadków.

- Ależ przecież on mnie zna. Wszyscy wiedzą, że ja tego nie robię specjalnie, po prostu tak jakoś wychodzi - powiedziała zdumiona.

- Wspaniale - odparł z gryzącą ironią w głosie. - Wszyscy cię znają, w końcu jesteś córką burmistrza. Nie robisz tego specjalnie, więc oczywiście nic cię za to nie spotka. Coś takiego może się zdarzyć tylko u nas.

- Nie rozumiem, co masz na myśli - odparła dumnie. - To zdarza się wszędzie.

Chance zaklął pod nosem i otworzył bagażnik. Udało mu się to bez problemów, jako że nikt mu go jeszcze nie uszkodził. Wyciągnął ze środka czarną torbę sportową i rzucił ją na trawnik, w ślad za nią wyjął walizkę i zatrzasnął klapę.

- Nie ma o czym mówić - powiedział.

- Jak to? Sam zacząłeś, więc widocznie to nie daje ci spokoju.

Gdybym ja teraz przestała o tym mówić, to byłoby bardzo niegrzecznie, a

ja staram się być uprzejma dla wszystkich. Tak bardzo, że nawet zadzwonię do mojego starego przyjaciela Eda Gileada, który ma znany w całej okolicy warsztat samochodowy i na pewno jeszcze dziś się zjawi i zabierze twój wóz.

- Dziękuję. Naprawdę doceniam twoje zaangażowanie w sprawę, ale wciąż pozostaje najważniejsza kwestia, a mianowicie - kto zapłaci za tę naprawę. Zawiadomiłaś już swoją firmę ubezpieczeniową?

- A wiesz, to naprawdę dobre pytanie. Widać, że potrafisz myśleć logicznie. Na pewno będziesz świetny na stanowisku dyrektora. Muszę stwierdzić, że niestety większość ludzi zdaje się nie wiedzieć, co to logika. Ja sama rozumię nadzwyczaj logicznie, więc bez trudu rozpoznałam tę cechę u ciebie. Ale nie masz pojęcia, ile kosztuje mnie nakłonienie moich klientów, żeby posługiwali się logiką. Na przykład któregoś dnia...

- Hanno...

- Co takiego?

Musiał przyznać, że jest znakomita. Patrzyła na niego z niewinną miną, lekko rozchyliwszy wargi, i niemal udało jej się zmienić temat rozmowy.

- Samochód - powiedział. - Towarzystwo ubezpieczeniowe.

- Właśnie do tego zmierzam.

- A zdążysz jeszcze w tym stuleciu?

- My tu, w Teksasie, nie jesteśmy tacy nerwowi - odparła z oburzeniem i podniosła z ziemi jego torbę, ale zaraz upuściła ją z powrotem. - Co ty tam nosisz? - spytała i nie czekając na odpowiedź ruszyła w kierunku domu.

Chance westchnął, wziął walizkę do jednej ręki, torbę do drugiej i podążył za Hanną. Okrążyli dom, a potem podjazdem z czerwonej cegły

udali się do garażu. Hanna zaczęła wspinać się po schodach na piętro, a on przez chwilę przyglądał się z podziwem jej nogom.

Otworzyła drzwi, weszła do środka i położyła klucze na stole, a następnie włączyła klimatyzację.

- Za parę minut będzie już chłodno - powiedziała.

Chance złożył swoje bagaże na szerokim łóżku i rozejrzał się wokół. Mieszkanie składało się właściwie z jednego pokoju i części kuchennej, oddzielonej od niego szerokim bufetem.

- Możesz usiąść na chwilę? Chciałbym cię o coś zapytać. Usiadła bez słowa na wysokim stołku, skrzyżowała nogi, a potem zaczęła nimi machać. Obserwował to, aż wreszcie zapomniał, jakie chciał jej postawić pytanie.

- Mogę coś powiedzieć? - odezwała się nagle.

- Oczywiście.

Odwrócił się, żeby widok jej nóg przestał go rozpraszać, i wyjrzał przez kuchenne okno, które wychodziło na tył domu. Zobaczył kwiaty rosnące wszędzie, wzdłuż ścieżek, ogrodzeń, ścian, ale rozrzucone bez żadnego ładu czy składu. Piękne, pachnące i nie uporządkowane. Jak ona sama.

Postanowił, że musi przestać o niej myśleć, i w tym samym momencie go olśniło. Zrozumiał treść różowej wizytówki.

„Bajaderki Hanny Hart"! Ona prowadzi specjalne usługi dla mężczyzn, oferuje im frywolne panienki.

Kto by ją podejrzewał? Na pewno nie policja. W końcu jest córką burmistrza i wygląda tak niewinnie! Piegi na nosie, rozwiane rude włosy. Szuka klientów na parkingu, aranżując stłuczki samochodowe. Ciekawe, czy agent ubezpieczeniowy, do którego tak wzbraniała się zadzwonić, też jest w to wciągnięty?

Perfekcyjnie obmyślony plan. Pewnie do tej pory wszystko działało jak w zegarku, ale biedulka nie wzięła pod uwagę tego, że do miasta przyjedzie agent federalny McCoy.

- Chciałam ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro - szepnęła Hanna.

Przygwoździł ją zimnym spojrzeniem, ale ani drgnęła. Pewnie, że będzie jej przykro, kiedy okaże się, że cały interes wziął w łeb.

- Wiem, że to moja wina. Zawsze tak jest - mówiła, jakby nie do końca w to wierząc. - Oczywiście, pokryję wszystkie koszty. Przyjechałeś tu, żeby u nas pracować, a ja na wstępie rozbiłam ci taki piękny samochód.

Wyglądała tak niewinnie, ale on już wiedział, jaka jest prawda.

- Przez cały czas wciskasz mi kit. Hanna na chwilę znieruchomiła na krześle.

- Po prostu staram się być miła i uprzejma, tyle że ty nie znasz w ogóle takiego słowa. Powinnam była się spodziewać, że przybysz z północy nie potrafi poznać się na teksańskiej uprzejmości - powiedziała wyniośle.

- Co takiego?

- To, co usłyszałeś. - Teraz już wyraźnie się rozzłościła. - Odwołuję wszystko, co powiedziałam, łącznie z ofertą, że pokryję koszty naprawy tego rupiecia, co stoi przed moim domem. I choćby mama nie wiem jak mnie błagała, nie mam zamiaru zapraszać cię, żebyś wziął w tym udział.

A więc pani burmistrz też w tym tkwiła? Nic dziwnego, że nie chciała na lokatora nikogo z zewnątrz, żeby wiadomość o działalności córeczki nie wy dostała się poza Sugar Land.

- Wziął udział? Niby w czym?

- W przyjęciu.

- W przyjęciu z bajaderkami? - zapytał złośliwie.

- O czym ty mówisz?

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął pogniecioną wizytówkę.

- „Hanna Hart dostarczy swoje bajaderki, kiedykolwiek będziesz potrzebował” - przeczytał na głos. - Doskonale wiesz, o czym mówię. O bajaderkach i o potrzebujących.

- Ach, to! Oczywiście, że tak. Bez nich nie może obejść się żadne przyjęcie. Ale nie tylko bajaderki, przy takich okazjach potrzeba czegoś więcej - na przykład całusków. Wszyscy przepadają za moimi całuskami.

- Aha, całuski!

- Także języczki albo murzynki. Lubisz murzynki? Jednak rzeczywiście największe zapotrzebowanie jest na bajaderki.

- Widzę, że dla każdego coś dobrego. Ale już niedługo, jeśli ja się do tego wezmę, maleńka.

- Nie rozumiem. - Patrzyła na niego zdumiona.

Po chwili jednak w oczach zamigotało coś na kształt zrozumienia. - No tak, czasami naprawdę wolno myślę. Nie potrafiłam nadążyć za tobą. Sądziłam, że jesteś takim zwykłym specjalistą od parków, zafascynowanym świeżym powietrzem i tężyzną fizyczną, a tu proszę - jakie skomplikowane procesy myślowe zachodzą w tej głowie. Mały Sherlock Holmes. Od razu wszystkiego się domyślił.

Podeszła do drzwi, otworzyła je i zaprosiła go szerokim gestem.

- Proszę. Może chcesz zobaczyć, jak się to wszystko odbywa. Naprawdę jestem pod wrażeniem. Przyjechał z północy, a taki inteligentny. No, chodź.

Chance zawahał się. Coś było nie tak. Nie miał pojęcia, o co chodzi, ale w całym ciele dźwięczały mu dzwonki alarmowe. Jednak posłusznie poszedł za nią przez podwórze do tylnego wejścia do domu, a następnie do

wielkiej kuchni, całej przesyconej słodkim aromatem rumu, wanilii i czekolady.

- Nie stój tak w drzwiach. Wejź do środka. Pokażę ci, z czego zasłynęłam w całym mieście. Zobacysz wreszcie, jak wyglądają moje bajaderki.

- Nie jestem zainteresowany.

Wyraźnie kpila z niego, ale ten się śmieje, ale ten się śmieje ostatni.

- Ugryź chociaż raz.

- Za kogo ty mnie bierzesz? Za jakiegoś zbrojnika? Nie zaprzeczyła, tylko znów uśmiechnęła się dziwnie i podeszła do wielkiego dębowego stołu. Zmieściłoby się przy nim spokojnie ze dwadzieścia osób, chociaż zobaczył tylko dwa krzesła. Na jednym końcu stołu leżało kilka blach do pieczenia ciasta. Hanna podeszła tam i wskazała na nie dumnym gestem.

Zobaczył poukładane w równych rzędach jednakowej wielkości brązowe, spłaszczone kuleczki. Przypominały mu psie kupki na trawniku i naprawdę nie rozumiał, dlaczego ona uważa je za takie ważne w tym swoim nielegalnym biznesie.

- No i co o tym sądzisz? - spytała.

- Chyba już to gdzieś widziałem - odparł wymijająco.

- A wiesz, jak się nazywają?

- Mam na końcu języka, ale w tej chwili nie potrafię sobie przypomnieć.

- To są bajaderki.

- Co takiego? - Znów pomyślał o Filadelfii i zrozumiał, że coś jest nie tak.

- Ojej! Już rozumiem, z czym ci się skojarzyła nazwa niewinnych ciasteczek! Boże, czy ja naprawdę wyglądam na właścicielkę agencji towarzyskiej?

Stał jak zamurowany. Nie śmiał ani potwierdzić, ani zaprzeczyć.

- Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się coś takiego - mówiła dalej, chichocząc. - Nie wiem, dlaczego, ale jestem z tego dumna. Może nie tak jak z ciastek, trochę w inny sposób, ale jakoś wcale nie obraziłam się za to przypuszczenie.

Jego marzeniem było w tej chwili zniknąć na zawsze z tej kuchni, z tego domu i nigdy więcej jej nie ujrzeć. Tyle że nogi wcale nie chciały się ruszyć. Hanna wzięła w palce jedną z brązowych kuleczek i wyciągnęła w jego stronę.

- Spróbuj.

Wcale nie miał zamiaru wziąć czegoś takiego do ust.

- Nie bój się. Zobaczysz, że będzie ci smakowało. Ugryzł ostrożnie i poczuł smak czekolady, rumu i cukru.

Zwłaszcza rumu.

- Dobrze. A ile alkoholu zawiera? Po tym chyba nie można prowadzić samochodu.

- To tylko smak rumu, cały alkohol odparowuje w trakcie przyrządzania.

- Nie wierzę. Spróbuj sama, może nie pamiętasz, jak one smakują.

- Ja nie jadam słodczy, ale moi sąsiedzi zawsze testują wszystko, zwłaszcza nowe przepisy, i powiedzieliby rai, gdyby coś było nie w porządku.

- Chyba że przedtem się upili. Wtedy trudno byłoby im się zorientować.

- Tutejsi mieszkańcy nie upijają się. Tak się w każdym razie mówi oficjalnie. Czy mama wspominała ci coś o jutrzejszym przyjęciu? - spytała, patrząc, jak on siada przy stole i przysuwa sobie bliżej całą partię bajaderek.

- Nie - odparł, pochłonięty tym, co leżało na stole.

- Urządzamy powitanie nowego dyrektora do spraw parków i terenów rekreacyjnych. To był mój pomysł - mama nie chciała tego organizować, bo powiedziała, że będziesz na tym stanowisku tylko tymczasowo. Uświadomiłam jej jednak, że twoja osoba będzie tylko pretekstem do zaproszenia całego miasta, a przecież w tym roku odbędą się wybory do władz miejskich. To chyba wystarczający powód do urzędu przyjęcia, nawet na cześć kogoś takiego jak ty.

- Co to znaczy „jak ja”?

- Kogoś obcego. Nie z Teksasu.

- Aha, wielkie dzięki.

- Nie ma za co. Na razie nikt nie wie, że jesteś nie stąd. Może nie zorientują się, jeśli nie będziesz się odzywał, tylko uśmiechał się do wszystkich i kiwał głową. Jakoś to będzie.

Chance nic już nie powiedział, tylko wpakował sobie kolejną bajaderkę do ust. Pomyślał, że Hanna ma ładne usta. Co by się stało, gdyby ją teraz pocałował?

Odwróciła się, wyjęła z szuflady torebkę i zaczęła pakować do niej bajaderki.

- Proszę, będziesz miał na kolację.

- Dzięki.

- Możemy pojechać jutro razem na to przyjęcie, jeśli chcesz.

- Pod warunkiem, że ja poprowadzę.

- Chyba mnie nie doceniasz.

- Ależ tak. Znakomicie pieczesz ciasteczka. Naprawdę jestem pod wrażeniem twoich umiejętności kulinarnych, w przeciwieństwie, niestety, do kierowania samochodem.

- No cóż. - Hanna obdarzyła go czarującym uśmiechem. - Będę musiała udowodnić ci, że się mylisz.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rzeczywiście się starała, ale raczej go wykończyć. Był pewien, że pulsujący ból, który niemal rozrywał mu szczękę, zawdzięcza tym jej staraniom.

- Co się stało?

Hanna weszła do kuchni, gdzie Chance siedział przy stole półprzytomny, nie mogąc mówić ani nawet myśleć. Zdążył już uznać, że jest szalona, gdyż w przeciwnym razie znaczyłoby to, że pragnie jego śmierci.

- Obraziłeś się? I dlaczego zakrywasz usta?

Nie czekając na odpowiedź, podsunęła mu pod nos tacę z lukrowanymi ciasteczkami. Owionął go zapach wanilii, kusił jak pajęcza sieć. Wziął jedno. Właściwie, dlaczego nie? Te wczorajsze były znakomite, tak mu się przynajmniej wydawało. Albo po kilku był już tak pijany, że było mu wszystko jedno.

Podniósł ciasteczko do ust i ugryzł. Całą szczękę przeszył szarpiący ból. Zaczął ją masować pośpiesznie, aż ból powoli przeszedł w głuche ćmienie.

- Dla kogo pracujesz?

- Nie rozumiem. Przecież wiesz, że mam własną firmę.

Znakomicie. Piegowata płatna zabójczym. Tylko dziwne, że on mimo wszystko jeszcze żyje. Sięgnął do tacy i uderzył dłonią w jedno z ciasteczek. Nawet nie posypały się okruchy, tylko pozostałe ciasteczka podskoczyły w górę.

- Myślałaś o tym, żeby sprzedawać je jako krążki hokejowe?

Popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby chciała posłać go za karę do kozy.

- To był cios poniżej pasa.

- Czy ty w ogóle ich próbowałaś?

- Mówiłam już ci wczoraj, że nie jadam słodczy.

- Ale nie powiedziałaś, dlaczego.

- Dlaczego?

- Tak. Czy to takie trudne pytanie?

- Nie - odparła, przygryzając dolną wargę. - Zaraz wrócę. Muszę umyć zęby.

- Co?

Patrzył za nią, kiedy wybiegała z kuchni. Bolała go szczeka, chyba miał złamany ząb, jego miłość własna doznała nie mniejszych obrażeń, a on podziwiał jej pupę w obcisłych szortach. Na pewno jest chory!

Hanna zamknęła za sobą drzwi łazienki, oparła się rękami o zimny brzeg umywalki i oddychała ciężko. Nie mogła uwierzyć, że użyła takiej głupiej wymówki. Nawet ją powinno było stać na coś bardziej

oryginalnego. Zrezygnowana, sięgnęła po szczoteczkę i wycisnęła na nią trochę pasty.

- No dobra, przecież Chance nie musi okazać się taki sam jak Dave.

Włożyła szczoteczkę do ust i powoli zaczęła szorować zęby.

Dave przybył do Sugar Land z Montany i otworzył sklep sportowy. Szybko stali się nierozłączni - on miał ambicje polityczne, a ona koneksje. Poza tym chciała nauczyć się grać w golfa, a on dysponował kijami.

Przyjaźń przerodziła się w miłość i po pewnym czasie nikt z mieszkańców miasta nie był zaskoczony wiadomością, że mają się pobrać. Za to ona była więcej niż zaskoczona, kiedy Dave wybrał się w służbową podróż do Aspen, zabierając do towarzystwa swoją sekretarkę, Ginę. Tak to jest, kłamstwo prędzej czy później wyjdzie na jaw. Jechali wyciągiem krzeselkowym na górę i w połowie drogi jemu zachciało się dosiąść Giny. Niestety, spadł na skały i zginął na miejscu.

Kiedy go znaleźli, miał spodnie zaplątane wokół kostek i błogi uśmiech na twarzy.

- Nie powinnam osądzać wszystkich mężczyzn według tego nikczemnego kłamcy - powiedziała głośno, ochlapując lustro plamkami zielonej piany. - Nawet jeśli posunął się do tego, że powiedział Ginie o mojej cukrzycy i o tym, że zasługuje na kobietę w pełni tego słowa, czyli właśnie na nią. Powinna była się domyślić, że mężczyźni zrobią wszystko, będą mówić nie wiadomo co, żeby dostać upragnioną kobietę.

Przekręciła kurek i nabrała w dłonie wody. To już rok minął od śmierci Dave'a. I przez ten czas żaden mężczyzna nie wzbudził w niej zainteresowania, przy żadnym nie drgnęło jej serce. Dopiero Chance...

Ale co będzie, jeśli znowu się zakocha i tak samo zostanie zdradzona?

- Mam cukrzycę i nic tego nie zmieni. Teraz zresztą nawet gdybym mogła, to nie chciałabym tego zmieniać. Powiem mu o tym otwarcie i jeśli on nie potrafi tego zaakceptować, jeśli też będzie uważał, że przez to nie jestem w pełni kobietą... w takim razie od razu będę wiedziała, że szkoda mojego czasu na kogoś takiego.

Nabrała wody do ust, wypłukała i wypluła do umywalki. Wytarła usta ręcznikiem, przejrzała się w lustrze, poprawiła ubranie i wyszła z łazienki. Chance siedział i patrzył wyczekująco.

- Przepraszam, że tak długo to trwało.

Podeszła do niego blisko, za blisko. Jej oczy, nos i usta były na tym samym poziomie, co jego.

- Pozwól, niech zobaczę, co ci dolega.

Co będzie, jeśli ona wykorzysta okazję i coś mu włoży do ust? Po co poszła do łazienki? Nagle przerwała rozmowę pod pretekstem umycia zębów, ale kto wie, co naprawdę tam robiła? Spuścił wzrok, żeby nie patrzeć przez cały czas w jej niewinne oczy, i to, co dojrzał w wycięciu dekoltu, było tak wspaniałe, że poddał się bez słowa.

Jeśli już ma zginać, to niech chociaż to się stanie, kiedy będzie patrzył na jej biust.

Otworzył usta. Hanna delikatnie zaczęła przesuwać palcem po jego dziąsłach. Dotknęła obolałego miejsca i pomasowała je opuszką.

- Aha - odezwała się.

- Co to znaczy? - spytał niewyraźnie.

- Coś czuję.

On też czuł, tylko gdzie indziej.

- Sam zobacz. - Poprowadziła jego palec do ułamanego zęba. - O, tutaj.

Założył nogę na nogę, żeby zamaskować to, co się z nim działo. Na pewno robiła to specjalnie, niemożliwe, żeby niczego się nie domyślała. To wszystko doprowadzało go do szaleństwa.

- Wszyscy ludzie mają usta. Nie ma się czego wstydzić.

Jedni mają mniejsze, inni większe... Co takiego? - spytała, widząc, że on chce coś powiedzieć.

- A ty swoich ani na chwilę nie zamykasz.

- No wiecie państwo! Jeszcze nikt nie zarzucił mi, że za dużo mówię. Ja, jedna z najcichszych, najbardziej małomównych osób, jakie znam. Prawie w ogóle się nie odzywam, chyba że mam coś naprawdę ważnego do powiedzenia. Zapytaj kogo chcesz, czy ja za dużo mówię, a wszyscy ci powiedzą. ...

- A co z moimi ustami? Też kiedyś używałem ich do mówienia, a teraz wydają taki odgłos, jakbym gryzł kamienie.

- Wcale nie. A zresztą ktoś, kto cię przedtem nie słyszał, może pomyśleć, że to twoja normalna wymowa.

- Pewnie do końca życia będę musiał jeść tylko odżywki dla niemowląt.

- Nie bądź niemądry. A zresztą, jeśli tak bardzo ci to przeszkadza, to mogę wziąć pilnik do paznokci i upiłować ci ten ząb, a zobaczysz, że sam nie zauważysz różnicy. A potem zrobię ci pyszne śniadanie. Co o tym sądzisz?

- Chyba żartujesz!

Masował sobie dziąsło, myśląc o tym, że o wiele lepiej było, kiedy ona to robiła.

- Zaproponowałam, że spiłuję ci ząb i zrobię śniadanie. Co jeszcze mogę zaoferować?

Pomyślał o kilku rzeczach, które mogłaby mu zrobić. Stała tak blisko - kusząca, pachnąca tymi ciasteczkami, którymi chciała go otruć. Czy przeprosiła go za te zbrodnicze usiłowania?

Nie, do cholery.

Czy chociaż próbowała jakoś to wyjaśnić?

Być może, jeśli za wyjaśnienie uzna się mruknięcie: „Ojej, chyba zapomniałam dodać wody”. No pewnie, że zapomniała, te ciastka były twarde jak skała. A najlepsze było to, że ta woda miała zastąpić masło!

- Mogę cię o coś zapytać?

- Proszę bardzo - zgodziła się bez wahania.

- Tylko nie obrażaj się, dobrze?

- Nie wiem, czy ci to mogę obiecać, dopóki nie powiesz, o co chcesz mnie zapytać.

- Nie proszę, żebyś mi to obiecywała.

- Przecież mówiłeś, że bym się nie obrażała. Czy to nie to samo?

- Dlaczego nie możesz odpowiedzieć po prostu „tak” lub „nie”? Za każdym razem muszę wszystko z ciebie wyciągać, jak na jakimś egzaminie.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. W takim razie, jeśli nie chcesz śniadania ani mojej pomocy, mogę zaproponować ci jeszcze coś innego.

Niemal słyszał, jak w jego głowie odzywa się alarmowy dzwonek.

- Zabiorę cię do swojego dentysty. Mam ubezpieczenie, więc nic cię to nie będzie kosztowało - dodała z dumą.

- Przykro mi, że muszę rozwiać twoje złudzenia, ale ubezpieczenie zdrowotne pokrywa jedynie koszty leczenia ubezpieczonego. Co mi przypomniało o innym ubezpieczeniu - czy telefonowałaś do swojego agenta w sprawie samochodu?

- Bardzo dobrze, że poruszyłeś ten temat. Ed dzwonił, że ten twój stary samochód...

- Nie „stary”, tylko „klasyk”.

- Jak go zwał, tak zwał. A więc samochód będzie gotowy w ciągu trzech dni. Ed pracuje szybko. I zobaczysz też, że będzie w lepszym stanie niż przedtem.

- Zważywszy na to, że ostatnio wyglądał jak kawał poskręcanej blachy...

- Przecież wiesz, co mam na myśli. Ed naprawę ma talent. Jeszcze będziesz mi wdzięczny, że dzięki mnie zajął się twoim wozem.

- Hanno...

- Tak?

- Poproszę o kluczyki.

- Jakie kluczyki?

- Twoje.

- Ależ z przyjemnością cię zawiozę. Naprawę. Pomyśl, że przecież możesz się zgubić. Ile czasu byś wtedy stracił. Mogę spróbować tłumaczyć ci, jak dojechać, ale nie jestem w tym dobra. Na pewno zmyliłbyś drogę... Nie, nie. Może wydaje ci się, że jesteś silny, ale nie pozwolę, żebyś jechał sam.

- Jak chcesz.

Wyszli razem, a Hanna nie zawracała sobie głowy zamykaniem drzwi. Na dworze było już upalnie i wilgotno. Cienka bawełniana bluzka przylgnęła do jej skóry, więc ujęła materiał w palce i odsunęła go od ciała.

- Wiesz, naprawę mi przykro z powodu twojego zęba. Zapłacę za wszystko. Za samochód też.

- Wiem.

- Mówiłam ci przecież, że załatwię to, prawda? Nie będziesz musiał się martwić nawet o najmniejszą drobnostkę. Chyba jednak mi nie wierzysz - dodała, widząc powątpiewanie w jego oczach.

- Ależ wierzę.

- Nie musisz się wypierać, to w końcu zrozumiałe - mówiła, nie zwracając uwagi na jego protesty. - Przecież właściwie mnie nie znasz. Wiedz jednak, że w mieście wszyscy mnie znają i poważają.

- Naprawdę ci wierzę.

- Nic masz pojęcia, jaka jestem ceniona. Każdy prosi, żebym zaplanowała i zorganizowała mu przyjęcie, uczyła dzieci, prowadziła drużynę baseballową. Umiem mnóstwo rzeczy, organizuję kursy pierwszej pomocy... Ludzie mi ufają.

- Wcale z tym nie polemizuję.

- Oczywiście, że tak.

- No, dobrze. Ale może pojedźmy.

Otworzył przed nią drzwi od strony pasażera. Była pewna, że zupełnie przypadkowo musnął ręką jej plecy. Naprawdę przelotnie, ale poczuła się, jakby przez jej ciało przeszedł prąd. Zerknęła na niego, żeby przekonać się, czy to zetknięcie wywołało u niego podobny efekt. Niestety, nic. Żadnej reakcji. Co zrobić, żeby to zmienić?

Spojrzała na niego, osłoniwszy oczy przed słońcem, i uśmiechnęła się. Wsiadła powoli do samochodu, starając się jak najbardziej wyeksponować nogi, wystające z króciutkich szortów. Mogła się założyć, że on zapomniał już o bolącym zębie.

Chance usadowił się za kierownicą i z trzaskiem zapiął pas.

- Obiecuję solennie, że nie będę już cię namawiać na twarde ciasteczka - powiedziała cicho.

- Trzymam cię za słowo.

Uśmiechnął się do niej - szczerym, szerokim uśmiechem i wtedy pomyślała, że jednak jest szansa, żeby coś się między nimi wydarzyło.

Chance włożył kluczyk w stacyjkę, ale potem się zawahał.

- Po prostu musisz teraz przekręcić w prawo - powiedziała.

- Dlaczego nie jesz słodczy?

Czy cukrzyca zniweczy tę szansę? Teraz patrzy na nią wzrokiem, w którym wyczuwa się pożądanie - czy kiedy się dowie o chorobie, zostanie w nim tylko współczucie? Nie, przecież on jest inny niż Dave. Nie uzna, że nie jestem w pełni kobietą.

- Mam cukrzycę.

- No, teraz wreszcie rozumiem to wszystko. - Chance przekręcił kluczyk i silnik zapalił. - Co musisz robić poza niejedzeniem cukru?

- Trzy razy dziennie brać insulinę i zaraz po zrobieniu zastrzyku coś zjeść - odparła, przyglądając mu się wnikliwie, ale nie zauważyła żadnej zmiany w jego spojrzeniu.

- Muszę przyznać, że ulżyło mi, kiedy to powiedziałaś - oznajmił nagle. - Bałem się już, że próbujesz mnie otruć.

Otruć? Ona? Zapragnęła pocałować go, objąć, przytulić. Wróciła nadzieja i chciała, żeby on też wiedział, że jej się podoba.

- Którędy mam jechać?

Wskazała mu drogę w dół głównej ulicy.

- Tu skręć w lewo - powiedziała po chwili. Chance posłusznie zwolnił i zaczął skręcać.

- Nie tutaj! - krzyknęła, machając mu ręką przed nosem.

- Przecież pokazywałam ci, które to skrzyżowanie.

- Powiedziałaś, że mam tu skrócić.

- Wcale nie. Powiedziałam, że masz skrócić i ręką pokazałam, gdzie.

Wcale nie uważałeś.

Chance przyhamował i skręcił gwałtownie, a następnie pojechał we wskazanym kierunku.

- A teraz? - spytał.

- Jedź przez cały czas prosto, tylko powoli. Chcę pokazać ci park.

- Już tu byłem.

- Nie wiedziałam. Kiedy?

- Dziś rano. Komendant wpadł po mnie i obwiozł mnie po mieście.

- To miło z jego strony. - Zdrajca Turley, pomyślała. - O, i skreć znów tutaj! - zawołała, machając mu ręką przed oczami. Niechcący zawadziła o jego nos. Nawiasem mówiąc, ten nos jej się podobał. Nadawał Chance'owi charakter. Prawdopodobnie był już kilka razy złamany, więc na pewno nie zrobiła mu żadnej krzywdy.

Chance gwałtownie przycisnął pedał hamulca i samochód zatrzymał się z piskiem opon.

- W którą stronę? - wrzasnął.

- Przecież pokazywałam ci, że w lewo.

Znów machnęła mu ręką przed nosem. Dlaczego on zachowuje się tak głupio? Trudno będzie nastroić go romantycznie, jeśli jest w takim humorze.

Chance mruczał coś pod nosem, pewnie jakieś przekleństwa, więc nie poprosiła go, żeby powtórzył głośniej. Dojechali do kolejnych świateł.

- Tutaj będziemy skręcać.

- Przecież tą ulicą już jechaliśmy.

- Wiem.

- Kręcimy się w kółko.

- Chciałam być gościnną i pokazać ci miasto. Nie wiedziałam, że komendant już cię obwiózł. Jest zielone.

Dłonie zacisnął na kierownicy tak, aż pobiełały mu palce.

- Zielone światło - podpowiedziała jeszcze raz. - Ten kolor oznacza, że można jechać.

- Tylko w którą stronę?

Nie wyglądał na zadowolonego, chociaż jej zdaniem niczym mu się nie naraziła. Możliwość nawiązania się między nimi romansu zmalała chyba do zera.

- Oczywiście, że w prawo. O, zobacz, tutaj jest cukrownia - dodała, wskazując wysoki budynek z czerwonej cegły. - Kiedyś uprawiano u nas trzcinę cukrową, ale to było sto lat temu. Teraz cukier produkujemy tutaj, a na gruntach ornych uprawiamy głównie parcelację.

Zatrzymali się na czerwonym świetle.

- Nic nie mów - zażądał. - Pokaż tylko kierunek, a ja postaram się tam jakoś dojechać.

- Przychodnia jest tam, dalej. Musisz trzymać się prawej i potem skrócić.

Chance znów kłął pod nosem, kiedy wjeżdżał na parking. Znalazł miejsce tuż przy wejściu. Hanna otworzyła drzwi i powoli wysunęła nogi, stawiając je ostrożnie na chodniku. Pomyślała, że nie wszystko jeszcze stracone, kiedy ujrzała, jakim wzrokiem wpatrywał się w jej uda.

- Obejrzałem pańskie zdjęcie rentgenowskie i mam dobre wiadomości. Nie trzeba będzie zakładać korony - oznajmił doktor Topeck z uśmiechem. - Po prostu zrobimy wypełnienie.

- Sama mogłam to zrobić. - Hanna zaglądała Chance'owi do ust ponad ramieniem doktora. - Proponowałam mu, ale nie chciał.

Chance pragnął wyliczyć jej setkę powodów, dla których nie mógł się zgodzić na to, żeby operowała jakimś ostrym narzędziem przy jakiegokolwiek części jego ciała. Niestety, nie mógł nic powiedzieć, gdyż doktor Topeck badał właśnie jego jamę ustną.

- Dobrze się stało, że poczęstowałaś go tymi ciastkami

- cieszył się doktor. - Zobacz, jakie ubytki. Widzisz?

- O, tak. Zwłaszcza ten jest głęboki. Ale zęby ma wyjątkowo białe, jak na kogoś, kto nie dba o nie. To musi być uwarunkowane genetycznie.

Chance spojrział na Hannę z ukosa.

- Gdybym miał jakieś ubytki, musiałbym o tym wiedzieć

- powiedział, kiedy tylko doktor skończył badanie. - Przecież nic mnie nie bolało.

- Widocznie jest pan wyjątkowo odporny na ból - stwierdził doktor. - Są naprawdę głębokie. Ale proszę się nie martwić, zrobimy dziś wypełnienie. Na pewno będzie bolało, kiedy zacznę wiercić. Jaki środek znieczulający najlepiej pan toleruje?

- Proszę dać mu coś takiego, po czym będzie gadatliwy. Może wreszcie dowiemy się, jak naprawdę wyglądał jego samochód, zanim w niego wjechałam.

- Znowu miałaś wypadek? - spytał dentysta.

- Malusieńka stłuczka.

- Załatwiła mnie dokumentnie - wtrącił Chance. - Poproszę o nowokainę.

- Hanno, powiedz, proszę, Debbi Sue, żeby była gotowa za dwie minuty.

Po wyjściu Hanny doktor Topeck włączył maszynę. Rozległ się świdrujący dźwięk.

- Tylko sprawdzam, czy działa. Chce pan powiedzieć ostatnie słowo, zanim zacznę?

- Tak. Proszę, żeby Hanna trzymała się przepisów, kiedy piecze ciastka.

- Biedaczka. - Doktor roześmiał się. - Ona naprawdę jest znakomitą dziewczyną i nikt nie ma serca skrytykować jej gotowania. Jediną jadalną potrawą z całej jej produkcji są owe bajaderki.

W głosie doktora słyhać było nieklamana sympatię dla Hanny. Widocznie naprawdę lubiło ją całe miasto, ale Chance pomyślał, że Ada Hart powinna była uprzedzić go o eksperymentach kulinarnych córki. Cha, cha! Ona byłaby ostatnią osobą, która chciałaby go ostrzec. Gdyby mogła, sama stawiałaby mu przeszkody na drodze. Przecież powiedziała, że jego mieszkanie spłonęło - ale czy tak rzeczywiście się stało? Kto to może wiedzieć?

Ada naciskała, żeby koniecznie zamieszkał u Hanny. Zrobiła to świadomie - wiedząc, jak niebezpiecznie jest przebywać w jej pobliżu.

- Hanna być może zna się na wielu rzeczach, ale najlepsza jest w sprowadzaniu na siebie kłopotów - powiedział.

- Nie, nie sędzę. Chyba że ma pan na myśli historię z nieszczęsnym Dave'em. No cóż, każdy może się poślizgnąć.

- O czym pan mówi?

- Nie chciałbym, żeby wyszło na to, że ja rozprawdzam plotki. Musi pan zapytać Hannę. Chcę tylko powiedzieć, że dzięki lekcjom z nią mój starszy syn, Robby, nauczył się matematyki. To ten trzeci od lewej - dodał lekarz, wskazując na duże, rodzinne zdjęcie, zawieszona na ścianie.

- Ona uczy matematyki? - spytał z niedowierzaniem Chance.

- Czyżby kwestionował pan jej umiejętności? - Doktor wyglądał na obrażonego.

- Umiejętności? A w czym? Gotowaniu czy prowadzeniu samochodu? Nie chciałbym być nieuprzejmy, zwłaszcza że włączył już pan tę piekielną maszynę, ale przebywałem z nią przez całe przedpołudnie i dużą część wczorajszego dnia, więc mogę stwierdzić z całą pewnością, że ona naprawdę nie jest geniuszem.

Doktor Topeck popatrzył na niego znad okularów.

- Znam Hannę od czasów, kiedy jeszcze była w pieluchach. Jak pan myśli, kto lepiej może ocenić jej zdolności? Pan czy ja?

Szósty zmysł odpowiedział mu, że tym razem lekarz rozzłościł się nie na żarty. Ale przecież on nie mógł się mylić co do Hanny. Posłużyła się nim jak królikiem doświadczalnym, żeby stwierdzić, ile twardych jak z kamienia ciasteczek musi wpakować w niego, żeby go zabić. Pewnie chce to zbadać, a potem załatwić jakiegoś durnia, który się z nią ożeni i podpisze polisę ubezpieczeniową na milion dolarów.

- Debbi Sue! - wrzasnął doktor.

- Coś nie tak? - spytała Hanna, wślizgując się za asystentką do gabinetu.

- Wszystko idzie świetnie, moja droga. Debbi Sue, poproszę o strzykawkę. Tę z największą igłą.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Najwyraźniej nowokaina nie znieczuliła warg Chance'a, bo gdy tego wieczoru Hanna otworzyła przed nim drzwi wejściowe, wydał przeciągły gwizd, który sprawił, że przeszły ją ciarki.

- Miałam zapytać, czy jeszcze cię boli, ale widzę, że wszystko w porządku - odezwała się.

- Chętnie poprosiłbym cię, żebyś sprawdziła, ale obawiam się, że nie pojechalibyśmy na to przyjęcie, gdybyś zaczęła masować mi dżiąsła, tak jak wtedy - powiedział, wciąż patrząc na nią jak kot na sperkę.

- Chansie McCoy, czyżbyś próbował ze mną flirtować?

- Droga Hanno, jeśli tak rzeczywiście jest, nic nie mogę na to poradzić. Wyglądasz dziś niesłuchanie smakowicie. - Ujął jej dłoń, odwrócił i ucałował wewnętrzną część. - Mam ochotę spróbować, choćby mały kąsek.

Wiedziała, że wybierając na dzisiejszy wieczór tę obcisłą dżersejową sukienkę, zrobiła najlepiej, jak mogła. Czowała, jak cienka wełna przylega do jej kształtów, jak uwydatnia wąską talię i zaokrąglone zgrabnie biodra. Pod spód włożyła jednocześnie kombinację z różowej koronki, z usztywnionym, podnoszącym piersi stanikiem. Do tego wszystkiego pachniała swoimi ulubionymi perfumami Shalimar.

Była dumna ze swojego wyglądu i nie obawiała się, że zostanie on przez środowisko uznany za zbyt wyzywający, gdyż wiedziała, że poczwórny sznur prawdziwych, nieskazitelných pereł z diamentowo-smaragdową zapinką, wiszący na jej szyi - pamiątka po prababce - przyciągnie wszystkie spojrzenia.

- Dziękuję za komplement, ale pamiętaj, że na przyjęciu będzie mnóstwo jedzenia - odparła.

- Możemy zostać tutaj i sami sobie urządzić przyjęcie - zasugerował kusząco. - Zamówimy chińskie jedzenie, a ty będziesz jako przystawka i deser.

- O nie, to nie w moim stylu.

- Wiem, niestety.

Hanna poprosiła go do kuchni i poszła przodem, wygładzając suknię na biodrach. Zerknęła przez ramię i kiedy ujrzała, że Chance wpatruje się w jej pośladki, ukradkiem uśmiechnęła się z zadowoleniem. Od tak dawna nikt nie przyglądał jej się w taki sposób, na dodatek gwizdząc melodię z filmu „Pretty Woman”.

W kuchni na stole leżały tace z przeróżnymi ciastkami i ciasteczkami. Należało tylko jeszcze je przykryć i załadować do samochodu.

- Podobają mi się takie skarpetki - powiedziała, patrząc na skrawek czerwonego akrylu, wyzierający spod nogawki.

- Czy u was jest taka moda? A może w ten sposób wyrażasz swój charakter? Jesteś uparty jak byk...

- Ja? - spytał z niedowierzaniem. - Mylisz się.

- Skądże. Wszyscy Jankesi z północy są uparci i nie lubią dobrze przyprawionego jedzenia.

- Czy to ma ze sobą jakiś związek? - Chance był wyraźnie zaskoczony.

- No pewnie. Kiedyś byłam w najbardziej znanej restauracji w Bostonie i zamówiłam pieczeń. Okazała się w ogóle bez smaku. Odesłałam ją więc z powrotem. Wtedy przyszedł szef kuchni i upierał się, że mięso

jest doskonale przyprawione. Powiedziałam mu, że przyprawy to nie tylko sól i pieprz. On był typowym Jankesem, od dziesięciu pokoleń. Wasze kubki smakowe są u wszystkich takie same.

- Pieprz jest doskonałą przyprawą.

- A nie mówiłam? Naprawdę jesteście tacy sami. Pieprz jedynie uwydatnia trochę własny smak mięsa. Do przyprawienia trzeba koniecznie użyć czosnku, cebuli i koniecznie cayenne. Musisz wpaść któregoś wieczoru, to pokażę ci, jak się przyprawia pieczeń.

- Chcesz coś dla mnie ugotować?

Na wspomnienie poprzedniego poczęstunku rozboleły go szczęki. Przestał się uśmiechać i podszedł bliżej do Hanny.

Poczuła suchość w ustach. Chance miał na sobie sztywno wykrochmaloną koszulę, z rozpiętymi górnymi guzikami. W rozpięciu widać było czarne, kręcone włosy, a ona pragnęła ich dotknąć.

Otarła spocone dłonie i przeszła na drugą stronę stołu, starając się, żeby to wyglądało nonszalancko. Wzięła rulon folii aluminiowej, oderwała kawałek i zaczęła przykrywać tace z ciastkami.

- Co robiłeś po tym, kiedy zostawiłam cię na komisariacie? I właściwie dlaczego chciałeś tam jechać? To nie jest jakoś szczególnie znane miejsce w Sugar Land.

- Szeryf Turley jest starym przyjacielem mojego przyjaciela, a poza tym - w przeciwieństwie do kogoś, kogo nie chcę wymieniać z imienia - dobrze prowadzi samochód.

- Widziałeś coś interesującego? A może poznałeś jakąś ciekawą osobę?

- Właściwie nie. Turley powiedział mi, że ty znasz wszystkich w mieście i powinienem się ciebie trzymać, jeśli chcę zawierać znajomości.

- Jakie znajomości? - Może chodzi mu o kobiety? O, niedoczekanie, pomyślała.

- Z osobami, które potrafią gotować, prowadzić samochód... no wiesz, ze zwyczajnymi ludźmi.

- Dlaczego starasz się mnie obrazić?

- Wcale nie.

Właśnie że chciał i oboje o tym wiedzieli. Zachowywał się dziwnie od momentu, kiedy przekroczył próg, i zastanawiał się, dlaczego tak było.

A co właściwie myślał?

Hanna Hart wprowadzała w jego życie niepotrzebny zamęt i jak tylko w poniedziałek wypożyczy sobie samochód, powinien ograniczyć kontakty z nią. Musi zająć się pracą, a nie kobietą, choćby miała najpiękniejsze nogi i piersi.

- Nie chciałem zrobić ci przykrości - powiedział. Tak było rzeczywiście - po prostu usiłował mieć się na baczności przed kobietami, którym chodziło o trwałe związki. Takimi jak Hanna. - Przepraszam, że tak to wyszło. Naprawdę bardzo mnie obchodzisz - ty i twoje uczucia. Wiesz przecież, że przyjechałem tu tylko na krótko, a potem znowu będzie następna praca i kolejne miasto. Dlatego, mimo że podobamy się sobie nawzajem, nic z tego nie będzie. Byłbym przekleństwem dla takiej kobiety jak ty.

- Podobamy się sobie? - powtórzyła, a na jej policzkach wykwitł rumieniec.

- Chociaż oboje jesteśmy wolni, nie możemy sobie na nic pozwolić. Koniec, kropka. - Chance nie był pewien, czy bardziej chce przekonać ją, czy też samego siebie. - Jestem samotnikiem. Taki zresztą jest charakter mojej pracy. Twoim przeznaczeniem jest małżeństwo, dzieci, gotowanie...

- Urwał, bo „gotowanie” i „Hanna” jakoś w jego myślach nie pasowały do siebie. - W każdym razie coś zbliżonego do tej działalności - dodał, wzruszając ramionami.

- Ja gotuję bardzo dobrze i mogę ci to udowodnić.

- To właśnie starałem ci się wytłumaczyć. Nie chcę, żebyś mi cokolwiek udowadniała. Przecież nie moglibyśmy być razem. Postaram się jak najrzadziej wchodzić ci w drogę, zwłaszcza kiedy wypożyczę samochód. Zaslugujesz na coś więcej niż przelotna przygoda z nieznajomym, nawet gdybym ja nim był.

Hanna słuchała jego słów z kamienną twarzą, chociaż nie przychodziło jej to łatwo. Tylko ktoś, kto boi się, że jego samotność jest zagrożona, będzie głosił taką jej pochwałę. Mówił o małżeństwie, dzieciach... szkoda, że nie wspomniał o psie, wtedy miałyby już całkowitą pewność, że jest poważnie zaangażowany.

Wiedziała, że aby mężczyzna zrozumiał, jak bardzo pragnie jakiejś kobiety, trzeba przekonać go, iż tej kobiety nigdy nie zdobędzie.

- Cieszę się, że poruszyłeś ten temat, gdyż właśnie myślałam o tym samym. Musisz zdać sobie sprawę, że gdybyś poznał mnie bliżej, zacząłbyś marzyć o trwałym związku, a ja teraz naprawdę nie chcę w nic się angażować. Wiem, że tak by się stało, mężczyźni zawsze reagują na mnie w ten sposób.

- Tak?

- Właśnie. Ale wiesz co, może w twoim przypadku dzieje się tak dlatego, że czujesz się trochę obco w nowym miejscu i ja jestem dla ciebie jedyną bratnią duszą, czymś w rodzaju koła ratunkowego. Według mnie jest to tylko sympatia czy też przyjazd, żadne tam uczucie między kobietą a mężczyzną, przynajmniej z mojej strony.

- Nie wierzę, żebyś nic do mnie nie czuła.

- No cóż, jesteś przystojny, interesujący, ale na mnie jakoś nie działasz. Widzę, że trudno ci w to uwierzyć, ale taka jest prawda. Mnie też się zdarzało, że myliłam przyjaźń z miłością. Nie śmiej się, byłam kiedyś bardzo nieśmiała. Ale potem przeczytałam książkę "Jak myśleć pozytywnie w negatywnych czasach". Może o niej słyszałeś, swego czasu zrobiła furorę. To naprawdę świetnie działa. Spójrz na mnie, czy powiedziałbyś, że jestem nieśmiała? Tobie też radzę to przeczytać.

- Jeszcze nikt nie zarzucił mi, że jestem nieśmiały.

- Świetnie. W takim razie spodoba ci się to przyjęcie. Tylko pamiętaj, że nie będę mogła zbyt często się tobą zajmować, często będziesz zdany tylko na siebie.

- W porządku - odparł. - Jestem gotowy. A ty? Więcej niż gotowa. Jaka kobieta od szesnastu do stu lat nie byłaby gotowa dla niego?

- Potrzebuję tylko pomocy, żeby załadować tace do samochodu.

- Sama to wszystko przygotowałaś, czy może kupiłaś gotowe?

- Sama - odparła dumnie, a Chance tylko lekko się skrzywił.

- Miałaś jedno złe doświadczenie, ale zapewniam cię, że to się zwykle nie zdarza. Robi się późno i Freddy już dawno powinien tu być. Nie wiem, co się stało. Jeździliśmy dziś tam i z powrotem do rezydencji Monroe, gdzie będzie przyjęcie, żeby zawieźć jedzenie, przygotować stoły i w ogóle wszystko zaaranżować. Wtedy przydałaby się nam pomoc, ale ty wolałaś wozować sobie z komendantem...

- Kto to jest Freddy? - spytał Chance. Wcale nie zależało mu na tym, żeby się dowiedzieć, ot tak, przy okazji...

- Nie podoba mi się, że drwisz sobie z mojej ciężkiej pracy.

- Kto to jest Freddy? - powtórzył. Dlaczego, u diabła, ona unika odpowiedzi na najprostsze nawet pytanie?

- I podajesz w wątpliwość rozsądek tych, którzy powierzyli mi przygotowanie przyjęcia na twoją cześć.

- Kim jest Freddy?

Nie obchodziło go to nic a nic i nie wiedział właściwie, dlaczego tak przy tym obstaje. Podszedł do Hanny i przesunął palcem po szyi, zatrzymując go tam, gdzie tuż pod skórą pulsowała cienka żyłka. Hanna wstrzymała oddech, jej oczy stały się wielkie jak spodki.

- Kim jest Freddy? - powtórzył do znudzenia.

- Moim pomocnikiem.

Musiała cofnąć się, żeby nie zrobić czegoś głupiego. Nie objąć go, na przykład albo nie sprawdzić, czy jego usta są tak miękkie, na jakie wyglądają.

- Dzisiaj ja zostanę twoim pomocnikiem - powiedział głębokim, przyciszonym głosem. - A wszystkie wypieki na pewno są wyśmienite.

- Moje ciasta są słynne i wszyscy się domagają, żebym upiekła jak najczęściej. Przyjmę twoją pomoc z wdzięcznością - dodała, przechodząc obok Chance'a tak, że otarła się piersiami o jego tors.

Poczuła dreszcz, ale udała, że nic się nie stało, i postarała się, żeby on też odniósł takie wrażenie. Spokojnie spojrzała na zegarek, jakby niepokoił ją tylko czas, a nie fakt, że serce waliło jej jak młotem.

- O Boże - jęknęła. - Freddy powinien tu być ponad godzinę temu. Trzymam cię za słowo i proszę o pomoc. Dasz radę to unieść? - spytała, wskazując na tace. - Musimy zanieść je do samochodu.

Chance przyjrzał się tacom, prychnął z lekceważeniem.

- Zaniosem dziesięć naraz.

- Zobaczymy. - Ciężkie, srebrne tace były używane w jej rodzinie od kilku pokoleń. - My z Freddym musimy je nosić wspólnie i to po jednej.

- Wzięłaś sobie jakiegoś słabeusza na pomocnika - stwierdził Chance, podnosząc tace. Hanna musiała powstrzymać uśmiech, widząc jego zdziwioną minę, kiedy zachwiał się pod ciężarem wypieków.

- On wcale nie jest słabeuszem. Zaczekaj chwilę, zadzwonię do niego do domu, może coś się stało.

- Tyle że to naprawdę trochę waży. Zadzwonisz później, a teraz otwórz mi drzwi.

Zdumiewające, ale szedł prosto, nie zataczając się pod wpływem ciężaru. Pobiegła przodem i otworzyła drzwi, a następnie tył samochodu. Chance włożył tace i wyprostował się. Patrzyła z podziwem, że nawet się nie zadyszał.

- Widziałeś, że w kuchni zostało jeszcze sporo?

- Staram się widzieć wszystko - odparł, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

- Jestem, już jestem...

Odwrócili się oboje, słysząc wołanie. Freddy pędził w ich stronę. Poły jego zbyt dużej koszuli łopotały jak ptasie skrzydła.

- Przepraszam, że się spóźniłem.

- Gdzie byłeś?

- Mama kazała mi pilnować Sary. - Chłopak zatrzymał się i obrzucił nieznanego nieufnym spojrzeniem.

- To jest właśnie Freddy.

- A ja jestem Chance - powiedział, wyciągając rękę do chłopca.

- Pan jest tym facetem, co wprowadził się do Hanny?

- Freddy był pełen podziwu. - Wszyscy tylko o tym mówią. A co pani matka na to powiedziała?

- On nie wprowadził się do mnie, tylko mieszka tutaj - odparła Hanna, wskazując ręką w stronę garażu. - Dobrze się złożyło, że tutaj jest, bo musi wykonywać twoją robotę.

- To nie moja wina. - Freddy usprawiedliwiał się, czerwony ze wstydu. - Już przeprosiłem.

- Wiem, ale powinienesz być zadzwonić i powiedzieć, że się spóźnisz. Po pierwsze dlatego, że byłam zależna od twojej pomocy, a po drugie - dodała ciszej - niepokoiłam się o ciebie.

- Ja też się o panią niepokoję - odparł chłopak.

- Doceniam to, ale nie ma takiej potrzeby. No, chodźcie, skończmy łądować wypieki.

Dziesięć minut później po trzech kolejnych rundach wszystkie tace znalazły się w samochodzie.

- Szkoda, że nie możesz dzisiaj przyjść na przyjęcie, na pewno będzie wesoło - powiedziała Hanna do Freddy'ego.

- Wiesz, Chance, on jutro kończy trzynaście lat i szykuję dla niego moją specjalność - tort z dyni.

- Ale tym razem zrobi pani według przepisu, dobrze? - spytał Freddy z nadzieją w głosie.

- Co się z wami dzieje, ludzie? Ostatnio nikt we mnie nie wierzy. Kto jak kto, ale ty chyba mógłbyś mieć do mnie trochę zaufania.

Czerwony jak burak Freddy wpatrywał się w swoje podarte tenisówki i szurał nogami po żwirze podjazdu.

- No, bo... pamięta pani, jak było ostatnio?

- Nie mów tak, to nie fair. Chance mógłby źle to zinterpretować.

- Nie, wcale nie. Powiedz, Fred, co się stało?
- Nic się nie stało - odpowiedziała pośpiesznie Hanna.
- Po prostu pomyliły mi się przepisy. Już nawet tego nie pamiętam.
- Przepraszam, że z tym wyskoczyłem - powiedział Freddy.
- Nic nie szkodzi. Jedźmy już, Chance. Nie ma czasu.

Mrugnął do Freddy'ego i otworzył jej drzwi samochodu, ale od strony pasażera. Myślał, że będzie protestowała, ale wsiadła bez słowa.

- Mam nadzieję, że teraz mnie poinstruujesz, jak mam jechać - odezwał się, kiedy już usiadł za kierownicą.

- Oczywiście. Chyba że wolisz, żebym poprowadziła. Znam drogę.

- Nie, chodzi mi tylko o to, żebyś nie dawała mi mylących poleceń.

Nie mów „tutaj”, kiedy chodzi ci o następne skrzyżowanie. Musisz mówić to, co masz na myśli, a nie na odwrót.

- Przecież wiem o tym. O co ci chodzi?

Nic już nie powiedział, zapalił silnik i wycofał się na ulicę. Zdążyli dojechać do najbliższej przecznicy, kiedy Hanna kazała mu skrócić w prawo. Na trawniku zobaczył tabliczkę z napisem „Rezydencja Monroe”.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że to tak blisko?

- Życie jest pełne niespodzianek, nie sądzisz?

Jeśli ona rozmyślnie chce doprowadzić go do szaleństwa, to w zasadzie już jej się udało. Tymczasem Hanna z niewinną miną wysiadła, nie czekając, aż jej otworzy drzwi.

- Ta ulica jest najstarszą częścią Sugar Land - opowiadała, podczas gdy on otwierał tylną klapę samochodu. - Na przykład mój dom ma ponad sto lat i zawsze był własnością rodziny. Przeprowadziłam się do niego, kiedy się zaręczyłam, bo mama uznała, że świetnie nadaje się jako dom dla

rodziny z dziećmi. Dla niej samej był za duży, więc kupiła sobie coś mniejszego, pod miastem.

Zaręczona? Ona ma wyjść za mąż?

Poczuł okropny ból w okolicach żołądka. To na pewno niestrawność, przecież zasłyszana informacja nic go nie obchodziła.

- Nie powiedziałaś, że wychodzisz za mąż - odezwał się nieswoim głosem.

- Wcale nie wychodzę za mąż.

- Przecież właśnie o tym mówiłaś.

- Chyba się przesłyszałeś. Wy, Jankesi, zawsze musicie coś przekręcić. Przecież nie dalej niż trzy minuty temu oznajmiłam ci, że nie chcę z nikim się wiązać. Dobrze, że dziś wieczorem będę w pobliżu, widocznie trzeba na ciebie uważać i tłumaczyć ci, co kto mówi.

- Posłuchaj. - Chwycił ją za nadgarstek. Zauważył, jaki jest szczupły i delikatny. - Powiedziałaś, że przeprowadziłaś się tutaj, żeby założyć rodzinę, bo zaręczyłaś się, tak? Nie pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam. Ale on nie żyje.

Widział na jej twarzy całą gamę emocji - gniew, ból i coś w rodzaju dumy. Napięcie opadło.

- Przepraszam, nie wiedziałem. Tak mi przykro - dodał, czując się trochę głupio z powodu tak oczywistego kłamstwa.

- Nie przepraszaj - odparła, patrząc mu prosto w oczy, z uśmiechem na ustach. - Mnie w każdym razie nie jest przykro.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Stał przy wejściu, obok Ady Hart i komendanta policji, żeby witac wchodzących. Starsi mężczyźni potrzęsali jego dłonią, młodszy miażdżyli ją w mocnym uścisku, zaś kobiety w każdym wieku dotykały jej lekko, żeby nie powiedzieć wstydliwie. I ani razu nie dostał sygnału od swojego szóstego zmysłu.

Przyjechali z Hanną dwie godziny przed przyjęciem i dokończyli przygotowań. Miała mnóstwo czasu, żeby wprowadzić go w to, czego może się spodziewać, o czym powinien wiedzieć. Ale nie zrobiła tego.

Zawsze był dumny ze swoich umiejętności, z możliwości dostosowania się do każdego tła. Jak kameleon. Potrafił stać się eleganckim uwodzicielem we fraku, a zaraz potem bezdomnym włóczęgą. Podczas minionych dziesięciu lat grał każdego, był wszędzie i wszystko widział. W każdym razie przynajmniej tak myślał.

Myślał tak tylko do tej chwili - teraz dotarła bowiem do niego świadomość, że można go zaskoczyć. Ba, nawet zaszokować. To, co nie udawało się handlarzom narkotyków, sutenerom czy płatnym mordercom, okazało się możliwe w przypadku kobiet z Sugar Land - wszystkich razem i każdej z osobna.

Ich fryzury zaprzeczały prawu ciężenia - poskręcane i zmaltretowane włosy sterczały pół metra nad głową. Pomyślał, że producenci lakieru do włosów muszą zbijać na tym majątek. Suknie miały owe panie dwojakiego rodzaju - albo obcisłe, jakby skurczone w praniu, albo też obszerne jak namioty, drapowane nad obfitymi biustami i biodrami. Daleko w tłumie dostrzegł Hannę. Była jedną z nielicznych ubranych normalnie osób, a

właściwie nikt nie mógł się z nią porównać, jeśli chodzi o figurę, urodę i gust. Jej różowa sukienka, jak zauważył, była naprawdę elegancka i tak pięknie uwydatniała krągłe piersi i długie nogi.

Oderwał się od rozpraszających uwagę myśli i skoncentrował na podchodzących do niego gościach. Wyglądało, jakby wszyscy mieszkańcy Sugar Land przyszli i chcieli go poznać. Pomyślał, że kiedy Hanna określiła siebie jako osobę małomówną w porównaniu z innymi, wcale nie była daleka od prawdy. Mówili bez przerwy i jeden przez drugiego.

Przywitał się z młodą kobietą, noszącą na głowie diamentową koronę. Za jej plecami dyskretnie stał „goryl”.

- Czy to jest prawdziwe? - spytał Chance.

- „To” jest korona Królowej Cukru i pochodzi od Tiffany'ego - powiedziała dziewczyna, dotykając klejnotów umocowanych na fryzurze wysokości drapacza chmur.

- Robi wrażenie.

Podeszły do niego kolejne dwie kobiety.

- Nazywam się Brunhilde, a to moja córka Betty Jo - przedstawiła się otyła niewiasta, ciągnąc za sobą swoją młodszą kopię. - Betty Jo robi najlepsze batoniki marcepanowe w mieście.

Batoniki marcepanowe? Czy tutaj wszyscy odżywiają się inaczej niż reszta świata? Z rozrzewnieniem pomyślał o najzwyczajszej pizzy.

Tymczasem nadciągały kolejne panie.

- Och, jakie pan ma muskuły - zachwycła się głośno pani Tinker, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Chodź, Tanya, pomacaj - powiedziała do córki.

Ostatnią rzeczą na świecie jakiej pragnął, było to, żeby Tanya pomacała go gdziekolwiek. Tymczasem ona przesunęła palcami po jego ręce, ale na szczęście opanował się i nie odskoczył do tyłu.

- Moja Tanya świetnie gotuje - mówiła pani Tinker, przyglądając mu się taksująco, - Może wpadłby pan któregoś dnia na kolację? Na pewno jeszcze nigdy nie jadł pan pancernika.

- Erleen, co ty opowiadasz? - Pani Ferris odsunęła ją ramieniem, żeby włączyć się w sam środek konwersacji. - Masz czelność proponować panu coś tak obrzydliwego?

Szturchnięciem kościstego biodra Durinda Daven odepchnęła Merne Ferris na bok.

- Jestem rozwiedziona - wyszeptała, spoglądając na Chance'a powłóczyście spod sztucznych rzęs, powleczonej grubą warstwą tuszu. - Całkowicie wolna - dodała, po czym została popchnięta przez kolejną przedstawicielkę płci pięknej.

Wydawało się, że każda z pań, zamieszkujących Sugar Land, defiluje dziś przed nim jak przed jurorem na konkursie piękności. Chance usiłował zapamiętać wszystkie twarze i nazwiska, gdyż każdy z obecnych teoretycznie mógł brać udział w handlu narkotykami.

Jednak przez cały wieczór szósty zmysł nic mu nie podpowiedział. Ani razu. Za to wielokrotnie czuł dreszcz, kiedy w polu widzenia pojawiała się Hanna. Raz uniosła w górę talerz z ciasteczkami i pokazała mu z daleka. „Masz ochotę?” spytała bezgłośnie, samymi wargami. Pewnie, że miał, ale nie na to, co leżało na talerzu.

Hanna przedarła się do niego przez tłum.

- Na pewno nie chcesz nic skubnąć? - spytała.

- A masz pancernika?

- Widzę, że poznałeś już Tanyę. Nie, myślałam o czymś słodkim.

Podobały mu się jej piersi, wychylające się lekko z dekoltu. To był słodki widok i chętnie poskubałby tu trochę. Równie pociągające i smakowite były uda, doskonale widoczne pod obcisłą sukienką. Jęknął w duchu. Hanna nie najlepiej radziła sobie z pieczeniem ciasteczek, ale świetnie wiedziała, jak się ubrać.

Wziął z talerza bajaderkę. Znał już ich smak, ale w obawie, że może eksperymentowała ze składnikami, ugryzł ostrożnie pierwszy kęs. Ciasteczko smakowało tak samo i rozpuściło się na języku. Szybko pochłonął resztę i wziął dwa następne.

Stali w towarzystwie Spring Tyme - kobiety odzianej w sukienkę koloru młodej trawy - i sędziego Irwina Fine'a. Sędzia uśmiechnął do Hanny i też wziął trzy bajaderki.

- Wiesz, Hanno, nie mogłam się doczekać, kiedy je podasz - powiedziała Spring, chwytając kilka bajaderek z talerza.

Widać było, że te ciasteczka mają powodzenie, podczas gdy inne zalegały na talerzach. Chance chwycił Hannę za łokieć. - Dokąd chcesz uciekać?

- Zobacz, ile gości. Muszę wszystkich poczęstować.

- Ty mnie w to wrobiłaś i będziesz musiała ponieść karę - powiedział przyciszonym głosem, podchodząc bliżej.

- Co ja takiego zrobiłam? - Hanna wyglądała na szczerze zdziwioną.

- Nie udawaj. Zafundowałaś mi to targowisko próżności.

- Naprawdę nie wiem, o czym mówisz.

Odwrócił się w stronę drzwi wejściowych, gdzie długa, pofalowana linia przybyłych kończyła się aż na ulicy. Młode kobiety i ich matki

przeglądały się w lustrze i poprawiały i tak nazbyt już wysoko podniesione fryzury.

- Jak myślisz, co je tu sprowadziło?

- Podobają ci się, co? - zaśmiała się w odpowiedzi. - Ale nie przyszły z twojego powodu. No może trochę, w końcu jesteś kimś nowym. Tak naprawdę jednak sprowadził je tutaj występ zespołu. Chłopcy mają dziesiątki fanek. Proszę, poczęstuj się bajaderką - dodała, wyciągając w jego stronę talerz.

- Nie mam już ochoty.

- W takim razie spróbuj cytrynowych całusków. Upiekłam je w zeszłym tygodniu. Zobaczysz, że mają pobudzające działanie.

- Dziękuję - odparł, patrząc na ciasteczka pokryte niebieskawym lukrem. - Nie potrzebuję takich środków pobudzających - dodał i włożył do ust kolejną bajaderkę.

- Wierzę - powiedziała Hanna. Odwróciła się i zniknęła w tłumie.

Chance obserwował ją, jak porusza się między zgromadzonymi, oferując każdemu swoje przysmaki. Wiele osób brało ciasteczka, czekało, aż ona się odwróci, a potem zawijało słodczyce w serwetki i chowało po kieszeniach albo do torebek.

- Pani burmistrz - powiedział półgłosem do Ady Hart, lekko dotykając jej ramienia, żeby spojrzała na niego. - Dlaczego tu wszyscy kradną ciasteczka?

- Mają to we krwi - odparła Ada. - Niech pan nie zwraca na nich uwagi - dodała, po czym sama przestała zwracać na niego uwagę.

Wiedział, że i tak dowie się tego, prędzej czy później. Zawsze tak było. Kiedy przyjęcie zaczęło zbliżać się ku końcowi, dał znać

komendantowi Turleyowi, że chce z nim porozmawiać. Turley skinął głową i zniknął.

- Zanim opuszczę Sugar Land, zrozumie pani, że nie było błędem powierzenie mi tego zadania - powiedział Chance do Ady.

- Dla dobra miasta mam nadzieję, że rzeczywiście tak będzie. Ale mogłabym się założyć, że będzie odwrotnie, i czuję, że moja osobista satysfakcja i wysokość konta w banku poszłyby w górę.

- Trudno byłoby pani dotrzymać warunków zakładu. Często stykał się z ludźmi takimi, jak pani burmistrz Hart.

Och, ci sceptycy. Przekonać ich mogła jedynie wygrana.

Rozejrzał się po pokoju, szukając Hanny. Nie zastanawiał się już nad powodem, dla którego jej szukał - po prostu w jej towarzystwie czuł się dobrze, był wesoły, patrzył optymistycznie na świat - tak jak ona.

Podziwiał ją za to, gdyż nie było jej łatwo zmagać się z życiem - a nie miał w tym przypadku na myśli cukrzycy, tylko posiadanie takiej matki jak Ada.

Zobaczył ją wreszcie, częstującą gości słodyczami, i wtedy usłyszał, że Ada mówi coś do niego. O dziwo, pierwszy raz odezwała się nie pytana.

- Moja córka jest bardzo ufna. Łatwowierna.

Nic nie odpowiedział. Nie wiedział, co może powiedzieć.

- Polubiła pana przez ten czas, chociaż nic nie wie o tym, co pan tutaj robi i jakie to wszystko niebezpieczne. Jestem jej matką i nie mogę znieść myśli, że złamie pan jej serce. Jako burmistrz tego miasta chciałabym, żeby jak najszybciej zdemaskował pan handlarzy narkotyków i wyjechał stąd, zanim ona się w panu zakocha.

- Mała szansa, żeby tak się stało.

- Ale co? To, że Hanna zakocha się w panu i złamie jej to serce, czy też, że wykryje pan szajkę handlarzy?

- Załatwię szajkę, nie łamiąc serca pani córce.

- Potrafi pan to zagwarantować? Może na piśmie?

- Będzie musiała się pani zadowolić moim słowem. Jak już powiedziałem, nie wiem, czy zdoła pani dotrzymać warunków zakładu.

- Naprawdę wydaje się panu, że w tak wielkim stopniu potrafi pan kontrolować swoje życie?

- Zawsze to robiłem.

Oddalił się, gdyż w głębi duszy czuł coś innego - strach, że po raz pierwszy od wielu, wielu lat nie będzie w stanie tego kontrolować. Znów zobaczył, jak Hanna częstuje gości swoimi wypiekami, a oni biorą je skwapliwie, zawijają w papierowe serwetki i chowają po kieszeniach. Podeszła również do niego i wyciągnęła w jego stronę talerz, uśmiechając się tak samo jak do innych.

Podziękował i pokazał gestem, że już jest najedzony do pełna i więcej nie zmieści. Myślał o tym, że ten jej uśmiech, skierowany do niego, powinien być inny - jakiś specjalny, miłszy, bardziej osobisty.

Przestań, powiedział do siebie. Myśl lepiej o swojej pracy, o pomyślnym zakończeniu zadania, zanim Jim znajdzie ci następne. I o tych gorących plażach, które czekają na ciebie. Niech nikt cię nie zatrzyma, a zwłaszcza ktoś o długich nogach, szczupłych kostkach i sterczących piersiach. Nikt o imieniu Hanna.

Zobaczył, że komendant Turley czeka na niego w sąsiednim, pustym pomieszczeniu, gdzie zgromadzono niepotrzebne stoły i naczynia.

- Nic pan nie widział - powiedział komendant, wyrzucając na pustą tacę całe naręczce ciasteczek.

- Czego nie widziałem?

- Nieważne. Jak się udały rozmowy? Adą niech się pan nie przejmuj. Uczepiła się pomysłu, żeby wezwać na pomoc stanowe brygady antyterrorystyczne.

- A więc o to w tym wszystkim chodzi?

- Jasne. Na pewno osobiście nie ma nic przeciw panu. Uważam, że zbyt długo jest sama i stąd to wszystko. Do tej pory w naszym miasteczku panował idealny spokój, teraz grozi nam skandal, więc pomyślała o odsieczu barczystych, zamaskowanych mężczyzn w panterkach. Proszę nie zwracać na nią uwagi.

- Postaram się.

- My, chłopcy, musimy trzymać się razem. - Komendant klepnął mocno Chance'a w ramię. - Ale jeśli mój stary kumpel Jim pomylił się i nie uda się panu złapać tych drani, nie będę miał innego wyjścia, jak rzeczywiście wezwać brygadę.

- Rozumiem.

Przez chwilę stali w milczeniu, patrząc przez otwarte drzwi na zgromadzonych gości.

- Wie pan, odnoszę wrażenie i to wcale nie w wyniku działania szóstego zmysłu, że nie tylko ja miałem złe doświadczenia z wypiekami Hanny - odezwał się Chance, widząc, jak goście wpychają ciasteczka do doniczek od kwiatów, dyskretnie wyrzucają przez okna, chowają w rękawach. Ich ruchy wyglądały na wyćwiczone, stosowane od dawna z niezmienną rutyną, jak w ustalonym układzie choreograficznym.

- Też pan to zauważył?

- A mógłbym nie zauważyć?

- Myśli pan, że Hanna wie?

- Nie sędę - odparł, potrząsając głową.

- To dobrze.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego nikt nie uświadomi tej dziewczynie, że jej wypieki są niejadalne?

- To proste, chłopcze. Nie chcemy jej urazić. Przecież te bajaderki są zupełnie niezłe i myślę, że w końcu się nauczy piec i inne rzeczy. Ona ma dobre serce.

- A czy nie pomyślał pan nigdy, że jeśli tutejsi mieszkańcy potrafią zgodnie utrzymać w tajemnicy ten fakt, to także mogą ukrywać istnienie siatki handlarzy narkotyków?

- W żadnym wypadku. Hanna jest dla nas kimś wyjątkowym. A tamten drań zhańbił nasze miasto. Będzie miał szczęście, jeśli go dorwiesz pierwszy, bo inaczej ludzie go zlinczują, a ja nie będę w stanie temu przeszkodzić.

- Zapamiętam to.

Znów stali, obserwując zgromadzonych, którzy rozmawiali, śmiali się, tańczyli. Co chwila ktoś witał się z Hanną, częstował się ciasteczkami, po czym pozbywał się ich dyskretnie.

- Komendancie, czy nie lepiej dla niej samej byłoby, gdybyście pomogli jej nauczyć się robić wypieki?

- Musi pan zrozumieć jedną rzecz. Hanna eksperymentuje z przepisami opartymi na specjalnych dietach. Kłopot tylko w tym, że ona uważa, iż każdy powinien stosować jakąś dietę, i wciąż na nowo eksperymentuje. Mamy jednak nadzieję, że któregoś dnia te próby zaowocują, a na razie będziemy ją wspierać ze wszystkich sił.

- Ależ ona nie umie piec.

- Więc może któregoś dnia to sobie uświadomi i wróci na Akademię Medyczną albo zrobi użytek z dyplomu biegłego księgowego, który zdobyła. Jeśli jednak w tej chwili pragnie żyć w ten sposób, to my będziemy jej w tym pomagać.

- Ona jest biegłym księgowym? I studiowała medycynę?

Przeraziła go wizja Hanny operującej mu wyrostek i zamiast tego wyjmującej wątrobę. „Ojej”, powiedziałyby. „Ale nie szkodzi, udusimy ją z cebulką, zmiksujemy i będzie wspaniały pasztet”. A potem doradziłyby, żeby wydał przyjęcie, na którym poda pasztet i wpisze go w koszty jako wydatek na cele reprezentacji.

Widocznie jęknął, bo komendant popatrzył na niego ze współczuciem.

- Nie przejmuj się, synu - powiedział. - Hanna to geniusz. Zobaczysz, że w końcu jej się uda.

Znów poklepał go po ramieniu i wmieszał się w tłum. Chance po chwili podążył w ślad za komendantem. Jeszcze dwa razy okrążył cały pokój i zapamiętywał ludzi, przy rozmowie z którymi choć trochę odzywał się jego szósty zmysł. Na przykład przy Elvinie. Ale tak mogło być dlatego, że ten kręcił się przy Hannie. Innymi podejrzanymi stali się: ostrzyżony na krótkiego języka piłkarz, mężczyzna o nazwisku Mac MacNaughton, który ubiegał się o stanowisko burmistrza jako konkurent Ady, oraz goryl Królowej Cukru. Jednak zapominał o nich wszystkich, kiedy mijała go Hanna.

Ujął ją za ramię i przytrzymał. Uśmiechnęła się - tym razem serdeczniej, nie tak zdawkowo.

- Nie mogłem cię wypuścić, nie skosztowawszy ponownie tych pyszności - powiedział, biorąc z tacy bajaderkę. - Są wspaniałe.

- Proszę, spróbuj też keksów. Dziś mają wielkie powodzenie.

- Chętnie.

Ostrożnie ugryzł kawałek, żuł przez chwilę i spróbował połknąć.

Rozejrzał się za czymś do popicia. Niestety, nie było niczego w zasięgu wzroku.

- Smakuje?

- Pyszne - odpowiedział, niemal krztusząc się suchymi okruchami. -

Naprawdę rewelacja.

Hanna odpłynęła w tłum z uśmiechem zadowolenia na wargach.

Chance skierował się w stronę wazy z ponczem, ale zanim zrobił kilka kroków, litościwa dłoń sędziego Fine'a podała mu puszkę piwa.

- Nie musi pan tego jeść - powiedział cicho sędzia, mrugając do niego porozumiewawczo.

Zgromadzeni tańczyli i plotkowali z zapalem. Ada Hart prowadziła kampanię wyborczą, a MacNaughton dzielnie ją w tym naśladował.

Chance co jakiś czas spotykał wzrok komendanta policji, który patrzył na niego znacząco i dawał dyskretne znaki, wskazując tę czy inną osobę.

Znów minęła go Hanna i tym razem chwycił ją i przyciągnął do siebie.

- Zatańczmy.

- Przecież muszę podawać.

- Masz chyba z dziesięć osób do pomocy.

- Wiesz co? Masz rację.

Muzyka akurat zaczęła grać. Hanna przekazała swoją tancę Królowej Cukru, a Chance przycisnął ją do piersi. Poczł jej ciało tuż przy swoim i pomyślał, że pasuje do niego jak ulał.

- Chance?

- Tak? - Przyszła pora na komplementy. Zaraz powie „Och, jak mi dobrze z tobą. Chodźmy stąd szybko”.

- Czy tobie słoń nadepnął na ucho?

- Słucham? - Czyżby była nieczuła na uroki jego ciała?

- Pytałam, czy słoń ci nadepnął na ucho? - powtórzyła, spoglądając przez jego ramię na pary tańczące obok. - Bo może nie zwróciłeś uwagi, że ta muzyka jest dość skoczna, a ty zachowujesz się, jakby grali kołysankę.

- Czy mam to rozumieć jako propozycję?

- W żadnym razie! Przecież ten temat już omówiliśmy, nie pamiętasz?

- A więc dlaczego wspominasz o kołysankach? - spytał, bawiąc się jej włosami.

- Dobrze rozumiesz, co mam na myśli.

- Skądże, przecież jestem Jankesem. Trzeba mi wszystko tłumaczyć dosłownie - dodał głośniejszym głosem, żeby przekrzyczeć muzykę.

- Jesteś zagrożeniem dla otoczenia. Tak, jakby ktoś jechał lewym pasem autostrady z prędkością ponad sto na godzinę. Teraz taka sytuacja występuje na parkiecie.

Jakby na potwierdzenie jej słów ktoś wpadł na nią, popychając jeszcze bardziej w jego objęcia.

- Przecież jestem znakomitym tancerzem - stwierdził, otaczając ją ramieniem.

- No, może nie takim najgorszym - powiedziała z powątpiewaniem w głosie.

- Znakomitym - powtórzył z naciskiem.

Przymknął oczy i wdychał zapach Hanny, delektował się jej bliskością. Czuł się tak, jakby po długich poszukiwaniach znalazł wreszcie dom.

I wiedział doskonale, że jeśli chce ocalić skórę, musi wyjechać jak najszybciej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego ranka wstał o piątej, włączył swój komputer i wprowadził do niego nazwiska osób, na które zwrócił uwagę na przyjęciu, a potem wysłał tę listę pocztą elektroniczną swojemu szefowi. Jim będzie miał ją u siebie w ciągu paru sekund, a potem z pewnością dokładnie sprawdzi wszystkie nazwiska, chociaż to na pewno strata czasu, gdyż szósty zmysł tak naprawdę jeszcze się nie odezwał. Było jedynie kilka fałszywych alarmów.

Potem przejrzał część z dostarczonych przez komendanta Turleya miejscowych gazet i tygodników i właśnie zagłębił się w policyjnych raportach, kiedy usłyszał na schodach ciężkie kroki, a potem głośne walenie do drzwi.

Wyłączył komputer i poszedł otworzyć drzwi właśnie w momencie, kiedy Ed Gilead unosił potężne ramię, żeby zastukać ponownie.

- Samochód gotowy, możemy iść - odezwał się.
- Hanna miała rację - przyznał Chance. - Szybko pan się uwinął, trzy dni przed terminem.
- Jestem najlepszy w mieście.

Parę chwil później, stojąc naprzeciw swego ukochanego auta, Chance zastanawiał się, w czymże to Ed jest najlepszy.

- No i co? - spytał mechanik. - Wygląda lepiej niż nowy. Jak dla mnie - dodał, ocierając policzek brudną od farby dłonią.

Po drugiej stronie ulicy stał Chevrolet Eda, a siedzący w środku jego pomocnik palił papierosa, ćwicząc się w puszczeniu kółek przez nos.

Chance dwa razy obszedł dokoła swojego biednego mustanga.

- Mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego pan to zrobił? - spytał spokojnym głosem. Spokojnym, cichym, poważnym. Śmiertelnie poważnym.

- Widzi pan... Hanna i ja... - zaczął Ed, Przesłupując z nogi na nogę. - Ona jest moją ukochaną. Nie dopuszczę, żeby wylądowała na tylnym siedzeniu samochodu Jankesa.

Hanna ukochaną Eda? Ciekawe tylko, czy ona o tym wie. A z tyłu mustanga i tak ledwo mieści się koło zapasowe.

- Ona jest pana narzeczoną?

- No cóż... będzie, jak tylko się dowie, co do niej czuję.

- To na razie nic nie wie, tak?

- Nic.

- A więc zniszczył pan mój samochód, żebyśmy nie mogli zmieścić się tam z Hanną? Ale ona nie jest pana dziewczyną? Czy dobrze to rozumiem?

- Jak na Jankesa, to nawet potrafi pan kumać.

- Potrafię też wpaść w gniew - powiedział Chance złowieszczym tonem.

Ed otarł usta i uśmiechnął się niepewnie.

- No i co pan wtedy zrobi?

Chance spojrział mu prosto w oczy. Wiedział już, co przestraszy Eda najbardziej na świecie.

- Powiem o wszystkim Hannie.

- Co się stało? Jakieś złe wiadomości? - spytała Hanna, kiedy Chance wpadł do kuchni jak burza. Zakręciła kurek nad zlewem i otarła mokre ręce o szorty.

- Twój przyjaciel Ed właśnie odwiózł mój samochód.

- To wspaniale. Widzisz, a nie mówiłam, że zrobi to szybko? Dziś niedziela, a miał być gotowy na wtorek. A ty się martwiłeś. Miałam rację - Ed jest najlepszy.

- Mój samochód jest czerwony - powiedział, podchodząc krok za krokiem.

- To piękny kolor. Ja też lubię czerwony, chyba najbardziej ze wszystkich. W czym problem?

- W zielonym. On przemalował mi wóz na zielono.

- To wszystko? Aha, czy zostaniesz na urodzinach Freda?

- Słuchaj...

Zabrzmiało to złowieszczo, zwłaszcza że wciąż podchodził coraz bliżej, Hanna cofnęła się i wciągnęła nosem powietrze.

- Prawda, że pachnie wspaniale? Jesteś zaproszony i bardzo prosimy, żebyś został. Wszystkie przepisy były wypróbowane.

- Słyszałaś, co powiedziałem? Twój przyjaciel pomalował mi samochód na zielono.

- Słyszałam, ale nie rozumiem, o co tak naprawdę ci chodzi. Zielony też jest piękny. Wiesz, chyba gdzieś mi się obilo o uszy, że przy czerwonym jest wyższa stawka ubezpieczeniowa, więc teraz możesz

zaoszczędzić. Zadzwoń do Elvina i zapytam o szczegóły. Chociaż teraz przypominam sobie, że czytałam...

- Hanno! On jest zgniłozielony. A właściwie w odcieniu sraczkowatym.

- Co? Chyba nie wiem, o jaki kolor ci chodzi. Możesz go opisać jakoś inaczej?

- Dobrze, w kolorze grochówki. Kto w ogóle jada grochówkę, nie mówiąc już o lakierowaniu samochodu na ten kolor? No, ale twój kochany przyjaciel Ed zdołał coś takiego wymyślić.

- Dobrze, już dobrze. Teraz wszystko rozumiem. - Podeszła do Chance'a i mówiła uspokajającym tonem. - Po prostu nigdy nie jadłeś dobrej grochówki, pewnie tylko takie z torebki. Mam rację, prawda? Widzę to po twojej minie - dodała, promieniejąc z radości. - A tak się składa, że ja robię naprawdę fantastyczną grochówkę, najlepszą w całym Sugar Land. Zostań na kolację, a ugotuję wielki garnek. Co prawda chyba nie mam grochu, ale mogę zastąpić go kaszą perłową albo lepiej białą fasolką...

- W ogóle nie rozumiesz, o co chodzi. Nie po raz pierwszy zresztą.

- Wcale nie. Po prostu wiem, że kiedy wreszcie spróbujesz znakomitej grochówki, nie będziesz już uważał, że to niedobry kolor dla samochodu. Będziesz dumny, że jest taki. Podczas jazdy przywiedzie ci na myśl jej smak i ciepło mojej kuchni, wspomnienie spędzonych razem chwil. No to co? Zostaniesz teraz? Freddy za chwilę przyjdzie, a ja mam jeszcze masę rzeczy do zrobienia.

- Teraz pójdziesz ze mną. - Chwycił ją za rękę i pociągnął do wyjścia. - Zobaczysz, co zrobił twój przyjaciel.

Nie potrafiła w tej chwili myśleć o niczym innym, jak o niewiarygodnie przyjemnym uczuciu ciepła, kiedy dłoń Chance'a objęła jej drobne palce. Dopiero przy drzwiach spojrzała na zegar i to uświadomiło jej, że teraz nie ma czasu. Spróbowała mu się wyrwać.

- Naprawdę jestem bardzo zajęta. Tort właśnie dochodzi.
- Na dole czeka Ed - zaznaczył Chance, pociągając ją mocniej.
- Dobrze, ale tylko pięć minut. Za sześć minut muszę wyjąć tort z pieca, a potem jeszcze polukrować.
- Wystarczą mi trzy.

Trzymał ją za rękę przez całą drogę, a ona marzyła, żeby to trwało jak najdłużej. W końcu jednak znaleźli się na ulicy i kiedy obeszli dom, ujrzała samochód w całej okazałości.

Przystanąła, bezwiednie wysunęła rękę z dłoni Chance'a a potem powoli ruszyła do przodu. Boże, nie, pomyślała. Nawet Ed nie powinien był zrobić czegoś tak okrutnego.

Obeszła samochód wkoło, potem jeszcze raz. Blacha była naprawiona bez zarzutu. Jednak Chance nie miał racji co do koloru. „Zgniłozielony” było zbyt łagodnym określeniem. Próbowwała wymyślić, co można by powiedzieć w tej sytuacji, ale nic odpowiedniego nie przychodziło jej do głowy. Nic, co mogłoby poprawić tę nieszczęsną sytuację. Starła się przypomnieć sobie, co czytała na temat pozytywnego myślenia, ale bez rezultatu.

Ed stał bez słowa. Cała jego potężna postać - sto trzydzieści kilo żywej wagi mięśni i tłuszczu - była jakby zmniejszona, sflaczała. W oczach miał strach, pot na czole i szurał nogami jak chłopak przyłapany z ręką w pudełku z cukierkami.

- Powiedz mi tylko, dlaczego to zrobiłeś? - spytała Hanna, starając się powściągnąć gniew.

- No wiesz... - Ed wpatrywał się w swoje stopy w brudnych tenisówkach. Przez dziurę wyglądała skarpetka, również nie pierwszej świeżości. - Nie dość, że on mieszka z tobą, to wiesz, co mówi się o dziewczynach na tylnym siedzeniu mustanga.

- On nie mieszka ze mną, tylko tam. - Wskazała ręką w stronę garażu, a Ed spojrział w tym kierunku.

- Tam? Ludzie mówili co innego. Sam słyszałem.

- To źle słyszałeś.

- Wszystko jedno, powinnaś strzec się Jankesów. Pamiętasz, co zrobił tamten facet? Ten, co nie żyje?

- On nie jest taki jak Dave i w dodatku nie jest też prawdziwym Jankesem. Mieszka w Wirginii. - Nie wspomniała, że Chance wychowywał się w Chicago. Takie tam nieważne detale.

- Może i tak, ale... - Ed pochylił się, żeby nikt inny nie mógł usłyszeć jego słów. - Nie pozwolę, żeby taki przybłęda obwoził cię swoim szpanerskim pudełkiem.

Minionej nocy śniło jej się, że jadą razem jego samochodem, a potem zatrzymują się i on obejmuje ją namiętnie. Niestety, w tym momencie obudziła się - za wcześnie, a właściwie za późno, gdyż zapomniała nastawić budzik i znów spóźniła się na umówione spotkanie.

- Sam chciałbym cię wszędzie wozić - mówił dalej Ed. - A już na pewno nie pozwolę, żeby robił to on - dodał, wskazując oskarżycielskim gestem na Chance'a.

- Och, Ed. Jesteś kochany, ale nie musisz się niepokoić. Naprawdę. - Wystarczy, że ja jestem zaniepokojona, dodała w myśli.

- Mogę porozmawiać z tobą sam na sam? - spytał Ed, patrząc na Chance'a z ukosa.

- Może faktycznie nie powinienem był tego robić - przyznał, kiedy odeszli dalej wzdłuż ulicy. - To zazdrość tak mnie oślepiła. Nie mogłem znieść myśli, że on jest tak blisko ciebie. Tak się zdarza, kiedy mężczyzna się zakocha. Teraz już wiesz.

- Nie miałam pojęcia o twoich uczuciach - powiedziała cicho.

- Musiałem ci powiedzieć, żebyś dała mi odpowiedź, czy warto się angażować. Bo wiesz, Betty Lou bardzo mnie lubi, a ja też ją kocham. Nie tak jak ciebie, oczywiście. Ciebie kocham od przedszkola. Ale ona jest ładna, prawda? Nie chciałem, żebyś w razie czego obraziła się na mnie, więc dałem ci pierwszeństwo,

Hanna spojrzała mu głęboko w oczy.

- Ed, zawsze bardzo cię lubiłam. W moim sercu masz specjalne miejsce, bo jesteś dla mnie kimś bardzo ważnym. Ale widziałam ciebie razem z Betty Lou i zauważyłam, że ona darzy cię wielkim uczuciem, powiedziałabym nawet, że jest w tym coś płomiennego. Gdybym przyjęła twoją propozycję, pewnie wydrapałaby mi oczy.

- Aha. - Ed przytaknął z dumą. - Betty Lou jest jak dzika kocica. Zwłaszcza kiedy się wścieknie.

- To co, zabierzesz samochód Chance'a i pomalujesz go, tak jak trzeba, zgoda?

Ed przytaknął ponownie. Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek, a potem razem wrócili do grochówkowego mustanga.

- Nie chciałem panu sprawić przykrości - tłumaczył się Ed, - Źle oceniłem sytuację. Zabiorę wóz i przemaluję. Będzie go pan miał z powrotem na wtorek, tak jak obiecałem.

- W porządku.

- Zostaje pan przy czerwonym, czy może mam polakierować go na taki kolor, jaki miał na początku - biały z niebieskimi pasami z boków? Bez żadnych dodatkowych opłat, chcę tylko panu pokazać, jak mi przykro.

- Chcesz powiedzieć, że czerwony nie jest jego oryginalnym kolorem? - spytała Hanna, zdziwiona. - Robiłeś wkoło tego tyle hałasu, a on nawet nie był czerwony?

- Był czerwony od kiedy go miałem i innego koloru nie chcę. Ale dziękuję za propozycję - powiedział Chance, podając Edowi rękę.

- No, teraz, kiedy już się zaprzyjaźniliście, wiem, co zrobimy - zaanonsowała ucieszona Hanna. - Zapraszam wszystkich na tort urodzinowy, który upiekłam dla Freddy'ego. On sam też powinien za chwilę tu być.

Ed rzucił się do mustanga, o mało nie przewracając po drodze Chance'a.

- Bardzo bym chciał, ale muszę jak najszybciej zabierać się do lakierowania, jeśli mam zdążyć do wtorku.

- A ty, Charlie? - Hanna zwróciła się do jego pomocnika, który pośpiesznie uruchomił silnik i wycofywał samochód na ulicę.

- Niestety, nie mogę. Może innym razem. Strasznie żałuję, bo wiesz, jak lubię twoje ciasta - powiedział i zniknął, zostawiając za sobą obłok dymu.

Ed z piskiem opon podążył jego śladem.

- Nie mogę uwierzyć, jak to się stało.

Hanna wydmuchała nos w papierową serwetkę z nadrukiem „Najserdeczniejsze życzenia z okazji urodzin” i otarła łzy.

- Nie przejmuj się. - Chance wyciągnął rękę nad stołem i delikatnie uściskał jej dłoń. Nie wiedział, co mógłby jeszcze zrobić - nie bardzo potrafił okazywać współczucie.

- Jak mogę się nie przejmować? - Hanna zabrała swoją rękę, wyjęła kolejną chusteczkę i znów otarła łzy.

Freddy wpatrywał się w kawałek tortu na swoim talerzu, bawiąc się pustą szklanką po mleku. Na środku stołu, na kryształowej paterze stał tort - prawie nietknięty, jeśli nie liczyć trzech odkrojonych kawałków. Trzynaście świeczek było do połowy wypalonych.

- Najpierw Ed przyprawdza ten zielony samochód, a teraz to - mówiła Hanna przez by. - Freddy, czy to najgorsze urodziny w twoim życiu?

- Nie, najgorsze były w zeszłym roku - odparł chłopak. - Dostałem wietrzną ospę od siostry - dodał, zwracając się do Chance'a. - A przecież powiedziałem jej, że chciałbym szczeniaka.

- Pamiętam - powiedziała Hanna. - Ale w końcu okazało się, że to były twoje najlepsze urodziny.

- O, tak! - Chłopak rozpromienił się i teraz niemal tryskał radością. - Hanna ma wszędzie znajomych. Wtedy zadzwoniła do kogoś w NASA i potem dostałem telefon. Okazało się, że to astronauta z promu kosmicznego „Atlantis”. Zadzwonili prosto z kosmosu i odśpiewali mi „Happy Birthday”. Nie mogłem wprost uwierzyć - dodał, patrząc na Hannę z pełnym nabożeństwem podziwem, a ona poklepała go po ramieniu.

- Opowiedz nam o swoich najszcześniejszych urodzinach - zwróciła się do Chance'a.

- To było, kiedy skończyłem szesnaście lat - odparł, zarażony entuzjazmem małego. - Wtedy ojciec podarował mi mustanga.

- Rozumiem - powiedziała, przyglądając mu się uważnie. - Pewnie dlatego tak go lubisz. Często widzisz się z rodziną?

- Ojciec zmarł kilka miesięcy po tych moich urodzinach. A siostra zaczęła brać narkotyki i dwa lata później przedawkowała heroinę. Nie udało jej się uratować.

Hanna patrzyła na niego przerażona. Objęła jego dłoń.

- Przepraszam, nie wiedziałam.

Pragnął opowiedzieć jej o Ninie. O tym, jak wpłynęła na niego jej śmierć. Tylko Jim wiedział, dlaczego z taką zajadłością ściga handlarzy narkotyków. Kiedy odkryje tutejszą siatkę, Hanna dowie się, dlaczego naprawdę tu przyjechał, i zrozumie, że zaraz potem będzie musiał opuścić Sugar Land.

- Pamiętaj, że narkotyki zabijają - powiedział Fredowi, machając mu palcem przed nosem. - Nawet nie próbuj, niezależnie od tego, co będą ci opowiadali koledzy. Zrozumiałeś?

- Tak.

- A twoja mama żyje? - spytała Hanna.

- Tak i nawet cieszy się dobrym zdrowiem. Mieszka w Chicago. Bardzo dobrze gotuje - dodał z przewrotnym uśmiechem.

W oczach Hanny znów pojawiły się łzy.

- Jestem beznadziejna. Potrafię wszystko zepsuć. Najpierw zniszczyłam samochód, który dostałeś od ojca, a teraz tort... W życiu nie upiekłam czegoś bardziej obrzydliwego.

- Tak bym nie powiedział - wtrącił Chance. - Pamiętam, jak dwa dni temu...

Fred z przestraczem na twarzy dawał mu jakieś znaki i Chance uznał, że tym razem skorzysta z ostrzeżenia.

- Co było dwa dni temu? - Hanna podniosła głowę i spoglądała na przemian na jednego i drugiego.

- Nic, nic... - Chance wycofywał się pospiesznie. - Wszystko było wspaniałe.

Chociaż i tak ktoś wreszcie musi jej powiedzieć, pomyślał. I to wkrótce, bo ta cała farsa zaszła już za daleko. Prędzej czy później ona dowie się, że całe miasto o wszystkim wiedziało, i dopiero ją to zaboli.

- Z tamtymi ciastkami to był naprawdę przypadek. Nie udało mi się eksperyment. Kiedy wreszcie mi uwierzysz?

- Oczywiście, że ci wierzę.

Chance zebrał ze stołu tekturowe talerze i wyrzucił do kubła na śmieci. Hanna wzięła nóż i przycisnęła płaską stroną wierzch tortu. Był wilgotny jak dobrze namoczona gąbka. Co za wstyd. Tylko kolor - jasnopomarańczowy - przypominał ten z obrazka na puszcze. Zapach też był przyjemny, przeważał w nim cynamon i goździki.

- Nie rozumiem tego - westchnęła. - Przecież umiem czytać. Zawsze postępuję według instrukcji, ale co prawda korzystam też z własnej inwencji. Chociaż przyznaję, że czasami mi się nie udaje, jak z tamtymi ciasteczkami. Jednak w większości przypadków efekt jest bardzo dobry, na przykład wczorajsze keksy. Goście niemal je sobie wrywali, chociaż zmieniłam przepis i zamiast mlecznej czekolady użyłam syropu czekoladowego słodzonego słodzikami.

- Też jadłem keks - powiedział Chance i szybko napił się mleka. Tamto wspomnienie sprawiło, że zaschło mu w gardle. Wsadził palec w polewę, pokrywającą tort, oblizwał go i zaraz sięgnął po jeszcze.

- Ten lukier jest świetny.

- Dałam tu tylko cukier-puder, masło i wanilię. No i oczywiście wodę. Zawsze dodaję dużo wody.

- Sądząc po cieście, rzeczywiście tak jest.

- Robiłam wszystko według przepisu, chociaż niekiedy stosowałam zamienniki. Ale nic takiego, co mogłoby zaszkodzić ciastu.

- Możesz podać jakiś przykład?

- No cóż, zdaje się, że zabrakło mi mąki.

- Jak to „zdaje się”? Zabrakło czy nie zabrakło?

- No dobrze, zabrakło. Mój pomocnik - o, ten tutaj - powinien był wpisać mąkę na listę zakupów.

- Wpisałem - wtrącił Freddy. - Tyle że nie wiem, po co. I tak nigdy nie sprawdzasz, co jest na liście.

- Sprawdzam. Po prostu czasami, ale bardzo rzadko, zapominam ją wziąć ze sobą, kiedy jadę na zakupy. Wtedy muszę polegać na pamięci. Zresztą dobrze jest trenować pamięć, bo inaczej szare komórki obumierają.

- Może skupmy się na przepisie - odezwał się Chance, wiedząc z doświadczenia, że Hanna często musi zatoczyć wielkie koło, zanim zdąży wrócić do tematu. - A więc upiekłaś ciasto bez mąki.

- Użyłam proszku do przyrządzania ciasta naleśnikowego. On jest bardzo dobry. Można nim zastępować mąkę.

- Skąd wiesz?

- Naleśniki też robi się z mąki, prawda?

- Prawda. Czy jeszcze czegoś ci zabrakło?

- Jeszcze był problem z cukrem.

- Mówiłaś, że masz cukier - powiedział Freddy z pretensją w głosie.

- Mam mnóstwo cukru.

- Nie rozumiem. W takim razie w czym problem?

- Ja nie mogę jeść cukru, a chciałam razem z wami obchodzić urodziny Freddy'ego, więc zastąpiłam cukier słodzikiem. Wzięłam połowę granulowanego, a połowę płynnego, bo nie wiedziałam, który będzie lepszy.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Nigdy nie robię sobie żartów z mojej pracy. W przepisie było pół łyżeczki soli, ale nie chciałam dodawać tyle, bo tak naprawdę sól nie jest zbyt zdrowa. Ostatnio przeżyłam stres i...

- Ty przeżyłaś stres? Co w takim razie powiedzieć o mnie? O mało nie straciłem samochodu, zęba, mieszkanie się spaliło, przez co musiałem wprowadzić się tutaj. - Pokazał oskarżycielskim gestem na garaż. -- W tamtym łóżku nawet nie można się rozprostować.

- Czy zauważyłeś, jak podnosisz głos? Już myślałam o tym, żeby całkowicie zrezygnować z soli. Zrobiłabym tak, gdybym miała pewność, że będziesz jadł ten tort. Przy twoim wysokim ciśnieniu niewskazana jest nawet ta szczypta, którą dodałam.

- Wcale nie mam wysokiego ciśnienia!

- I jak dobrze się złożyło, że skończył mi się olej. Przynajmniej w oliwie z oliwek jest tylko dobry cholesterol.

- Chyba coś ci się pomyliło. To nie miała być sałatka nicejska.

- Tym razem jeszcze udam, że tego nie słyszałam - odparła, zadzierając nos w górę. - Jeśli chodzi o jajka, dodawałam je po kolei, tak jak w przepisie, tyle że nie miałam trzech, tylko dwa. Użyłam jedynie białek, bo żółtka zawierają za dużo cholesterolu, tłuszczu i w ogóle wszystkiego. Dodałam więcej wody, żeby zrekompensować brak tego trzeciego jajka, oraz żółtego barwnika ze względu na brak żółtek. Co się stało?

- Nic.

- Masz otwarte usta. O, teraz już lepiej. Potem dodałam dynię - trochę więcej niż w przepisie, ale miałam większą puszkę i szkoda mi było wyrzucać resztę.

Chance znowu otworzył usta i zamknął je, nie wydając żadnego odgłosu.

- Na pewno nic ci nie jest? Czy ty mnie słuchasz?

- Słucham, ale nie jestem pewien, czy naprawdę słyszę, co mówisz.

- Wiesz co? Dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, dlaczego ten tort się nie udał. Tak, to musi być przyczyna. Wszystko już mi się zgadza.

- Chcesz powiedzieć, że zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś nie tak?

- Skończył mi się proszek do pieczenia, więc wzięłam sodę oczyszczoną. Dlatego to smakowało jak tektura. Przecież żaden inny składnik nie mógł tego spowodować. Tak oto metodą eliminacji rozwiązałam zagadkę. Możesz mi wierzyć, że już drugi raz nie popełnię tego błędu.

- Słuchaj, przykro mi, że to ja muszę ci to powiedzieć, ale ten cały tort jest jednym wielkim błędem. Zrobiłaś tort z dyni, w którym jedynym składnikiem użytym według przepisu była dynia.

- Przecież wytłumaczyłam ci, że zastosowałam środki zastępcze. Teoretycznie wszystko powinno pasować.

- Wiesz co, ty zdaje się jesteś niereformowalna.

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć - odparła z oburzeniem, zadzierając nos jeszcze wyżej.

- Będziemy musieli więc o tym porozmawiać.

- Och! - Freddy nagle zerwał się z krzesła. - Muszę już lecieć.

Wielkie dzięki za tort. Bardzo się z niego cieszę. W końcu najbardziej liczą się intencje. A ta koszulka, którą dostałem, jest świetna. To na razie.

Chłopak pędem wypadł przez tylne drzwi, które zamknęły się za nim z głośnym trzaśnięciem.

- Wygląda na to, że rzeczywiście bardzo się spieszył. Pewnie ma dziewczynę. Taka młodzieńcza miłość jest rozczulająca, prawda? - powiedziała Hanna z westchnieniem.

- Prawda. Słuchaj, muszę ci o czymś powiedzieć - zaczął Chance.

Postanowił powiedzieć jej prawdę, żeby wyjść z zakłętego kręgu tego wielkiego kłamstwa. Chociaż z drugiej strony, jeśli spojrzeć na jego życie, to każdy dzień niósł za sobą kłamstwo. Skąd więc te nagłe skrupuły?

Popatrzył na nią. Rzęsy wciąż miała mokre i sklezione łzami, twarz bladą, a nos czerwony od płaczu. Poczuł, że nie jest w stanie wyznać jej prawdy. W każdym razie nie dzisiaj. Jeśli to zrobi, nikt w całym mieście nie wtajemniczy go więcej w żaden sekret. To tak, jakby zawiódł zaufanie, złamał niepisane zasady.

- O czym chciałeś mi powiedzieć? Zresztą chyba potrafię zgadnąć.

- No to spróbuj.

- Nie podoba ci się moja inwencja. Uważasz, że nie powinnam eksperymentować.

- Niezupełnie.

- To dobrze, bo przy mojej cukrzycy jest bardzo ważne, żeby dopasowywać przepisy do diety. Jest wiele osób, które muszą przestrzegać ścisłej diety. Nie chodzi mi akurat o tort Freddy'ego, ale z tamtymi ciasteczkami zaryzykowałam świadomie. Tak już jest, że czasami osiągnie się sukces, a innym razem nie.

- Ja nie żartowałem, kiedy mówiłem, że matka nauczyła mnie gotować - powiedział Chance, patrząc jej prosto w oczy.

- Wcale tak nie myślałam - odparła, uśmiechając się do niego.

- Bardzo bym chciał dać ci parę lekcji.

- No cóż, pewnie mógłbyś podsunąć mi kilka pomysłów, ale pozwól, że ja też ci się odwdzięczę.

- Doskonale. Co proponujesz? - spytał myśląc, że najbardziej odpowiadałby mu masaż.

- Zabiorę cię na trening drużyny baseballowej, żebyś mógł poprowadzić zespół razem ze mną.

Nie o tym marzył, ale pomysł mu się spodobał. Przynajmniej będzie na co popatrzeć.

- Zgoda - powiedział, nie wspominając o tym, że nie ma pojęcia o przepisach ani metodach treningowych. - Niech będzie. Zresztą mam to nawet zapisane w kontrakcie.

- Formalnie tak, ale o wszystkim decyduje Elvin, który jest prezesem ligi. Wiele firm ubiega się o koncesje na dostawy jedzenia. Miasto ma z tego spory dochód.

- Elvin? To ten facet, co tak łąził za tobą na wczorajszym przyjęciu?

- Zauważyłeś? W każdym razie ja opiekuję się naszym zespołem, a Freddy jest moim asystentem. Potrzebowaliśmy tylko trenera, a ty będziesz w sam raz. To wspaniale - mówiła rozpromieniona. - Najlepsze wyjście z sytuacji, jakie można sobie wyobrazić.

Zerwała się z krzesła, podeszła do Chance'a i pochyliła się nad nim. Zanim zdążył się zorientować, objęła go za szyję i pocałowała. Był to bez wątpienia zwykły, przyjacielski całus dziękczynny, ale jego ciało płonęło, zwłaszcza na policzku, którego dotknęły wargi Hanny.

- Jutro zawiozę cię do wypożyczalni samochodów. Chcesz iść dziś wieczorem do kina?

Odpowiedział „tak”, zanim się zorientował, co mówi. Pozostawała mu tylko nadzieja, że nie będzie musiał tego żałować.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Powinien był przewidzieć, że jazda do kina z Hanną za kierownicą będzie równie niebezpieczna jak machanie czerwoną płachtą przed nosem szarżującego byka. Śmiertelnie niebezpieczna.

Bardzo powoli i ostrożnie uniósł głowę. Tak, nie pomylił się. Ten zgrzyt i pisk hamulców oznaczał, że udało im się wylądować zdrowo i cało na parkingu przed kinem Majestic.

- Akurat zdążyliśmy - oznajmiła Hanna radośnie. Wyłączyła silnik, wrzuciła kluczyki do torebki, wyjęła szminkę i zaczęła poprawiać usta.

Chance odwrócił się do niej i usiłował zapanować nad gniewem.

- Musimy porozmawiać.

- Oczywiście, pogadamy sobie później. Film zaraz się zaczyna i nie chciałabym się spóźnić.

Jak ona może zachowywać się tak spokojnie, jakby w ciągu minionych dwudziestu minut co najmniej trzy razy nie otarli się o śmierć.

- Nie, teraz.

- Nie mogę, spróbuj mnie zrozumieć. Jestem na bardzo ścisłej diecie, nawet nie wyobrażasz sobie, ilu rzeczy muszę sobie odmawiać. Jedną z nielicznych przyjemności, na jakie mogę sobie pozwolić, jest prażona

kukurydza właśnie w kinie Majestic - gorąca, ze świeżym, prawdziwym masłem. Zawsze dokładnie piętnaście minut przed rozpoczęciem seansu. Kiedy kukurydza wypada z maszyny i kładziesz na nią masło, to ono naprawdę skwierczy. Z chęcią z tobą porozmawiam, ale w tej chwili ważniejsze jest co innego - dodała, otwierając drzwi.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, co właśnie zrobiłaś?

- Umalowałam się.

- Chodzi mi o twoją jazdę - mówił, starając się trzymać gniew na wodzy. - O mało nas nie zabiłaś.

- Przestań wrzeszczeć.

- Ja nie wrzeszczę.

- Chodzi o ton, jakim się do mnie zwracasz. Wiesz, to już robi się nudne, takie ciągłe krytykowanie. To, jak gotuję, jak jeżdżę. Wrzeszczysz na mnie, nawet o tym nie wiedząc. Co będzie dalej? Że źle się ubieram? Żle całuję?

Nigdy! Tylko przez jeden ulotny moment poczuł dotyk jej ust, a już nie mógł o tym zapomnieć.

- Co mi przyjdzie z całowania, kiedy będę martwy? Ty chyba nie możesz się oprzeć pokusie, żeby zakończyć mój nędzny żywot, prawda? Bo chyba dlatego przejechałaś przed czołem rozpędzonego pociągu, który zresztą nadjeżdżał z mojej strony.

- Nie mów głupstw. Pociąg nie był bliżej niż dziesięć metrów.

- Nawet nie było czasu, żeby życie zdążyło mi przelecieć przed oczami.

- Och, proszę. Nie rób z tego melodramatu. Musisz starać się myśleć pozytywnie. W twojej pracy nie grozi ci większe niebezpieczeństwo, chyba że drzewo spadnie ci na głowę, prawda? Poza tym to prawda, że w chwili

śmierci człowiek widzi całe swoje dotychczasowe życie, więc jeśli nie zdarzyło to ci się teraz, to jeszcze trochę pożyjesz. Możesz wreszcie się trochę odprężyć. Lepiej ci? A więc chodźmy.

- Rozpędzony pociąg jechał prosto na nas - powtórzył przez zaciśnięte zęby Chance.

- Skąd mogłam wiedzieć, że oni w końcu naprawią ten szlaban? Czy ja jestem Duchem Świętym, czy co? Przez dwa tygodnie był zepsuty i nie dawał się podnieść, więc trzeba było go objeżdżać. Chodźmy wreszcie.

- Hanno...

- Wiem, co chcesz teraz powiedzieć. Tak, nie zatrzymałam się przy znaku „stop”. Powiem ci, dlaczego - bo ty mnie denerwujesz. To wszystko twoja wina. A teraz wysiadaj. Szkoda czasu.

- Ja cię denerwuję? - powtórzył, śmiejąc się sarkastycznie. - Coś jest nie tak z tutejszymi przepisami, jeśli komuś takiemu dają prawo jazdy.

- Wielkie dzięki. Na szczęście jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że oskarża się Teksas o wszystko, kiedy ktoś nie może poradzić sobie w kontaktach z prawdziwym światem, gdzie kobiety są kobietami, a mężczyźni mężczyznami. A teraz wysiadaj - zażądała, popychając go. - Nie chcesz? No to siedź, co mnie to obchodzi.

Chance wyskoczył z samochodu, podbiegł do drzwi z jej strony i praktycznie wyciągnął ją na zewnątrz. Stał, przyciskając ją do karoserii, czując swoim twardym i rozpalonym ciałem wszystkie jej zaokrąglenia i miękkości. Z bliska widział dokładnie jej złotawe oczy, lekko przysłonięte gęstymi rzęsami, lekko zadarty nos z siateczką piegów, pięknie wykrojone usta.

Zniżył głowę i dotknął ich swoimi wargami - delikatnie, jakby to było muśnięcie skrzydłami motyla. Hanna zaś wciągnęła głośno powietrze

i przysunęła się bliżej, co sprawiło, że pękła jakaś tama i Chance zaczął teraz całować ją tak, jakby chciał nasycić cały swój głód, jaki czuł od chwili, kiedy pierwszy raz ujrzał ją w gabinecie pani burmistrz.

Usłyszał jej westchnienie i przerwał pocałunek, a potem odsunął ją na odległość ramienia i stał tak, przyglądając się jej pociemniałym oczom, lekkim rumieńcom na policzkach, nabrzmiałym wargom. Uniosła dłoń i dotknęła jej wierzchem swoich ust, jakby chciała je ochłodzić. Zdał sobie nagle sprawę, że oto znalazł się w ślepych zaułku i nie ma żadnych wskazówek, jak odnaleźć drogę. To ona rozproszyła jego uwagę i teraz musi zmagać się z sobą, żeby odzyskać kontrolę.

- Zawiozę cię do domu - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. Oto specjalny agent McCoy znów obejmuje dowodzenie.

Zamiast zgodzić się, zaczęła się spierać. Wyklócała się z nim idąc do kasy po bilety, kupując stygnącą od pięciu minut kukurydzę, czego zresztą nie omieszkała mu wypomnieć, i szukając miejsc do siedzenia, które spełniłyby jej wygórowane wymagania. W końcu Chance tego nie wytrzymał.

- Czy muszę cię znów pocałować, żebyś się wreszcie zamknęła?

- Jak śmiesz? Chociaż masz rację, całowanie się z tobą jest czymś w rodzaju kary. Ale mogę cię uspokoić, potrafię zamilknąć sama, bez żadnych form nacisku z twojej strony.

A zresztą potrafiłabym mówić nawet wtedy, kiedy mnie całujesz...

Więc jednak musiał to zrobić. Jej wargi smakowały teraz kukurydzą i solą i były jeszcze bardziej miękkie i ciepłe, niż wydawało mu się parę minut wcześniej. Tym razem ona pierwsza oderwała się od niego.

- Chodź do mnie - zażądał. - Nie chcę więcej słyszeć o tym, jaki z ciebie znakomity kierowca.

- Nie, film już się zaczyna.

Chance przez kilka minut wpatrywał się w ekran.

- Tu nie ma Arnolda Schwarzeneggera - powiedział wreszcie z pretensją w głosie.

- Oczywiście, że nie. Przecież on nie grał jeszcze w latach pięćdziesiątych. "W tym tygodniu mamy festiwal filmów z Doris Day.

Powinien był się domyślić. Że też nawet nie spojrzał na afisz, tylko dał się bezwolnie zaprowadzić, nie zdając sobie sprawy, w co się pakuje.

- Jak byłam małą, marzyłam o tym, że kiedy dorosnę, stanę się podobna do Doris Day - szepnęła mu na ucho Hanna.

No cóż, niech będzie. Zwłaszcza że przytuliła się do jego ramienia i mógł czuć przez koszulę kształt jej piersi. Przymknął oczy i pograżył się w marzeniach, w których on był Clarkiem Gable, a ona małą, delikatną blondynką, no, niech będzie Doris Day...

Pozwoliła mu prowadzić w drodze powrotnej. W końcu знаła się co nieco na mężczyznach i wiedziała, jak ważną rzeczą jest dla nich podbudowanie swojego ego.

Oboje byli zaskoczeni na widok mustanga, zaparkowanego na podjeździe, polakierowanego tym razem dokładnie tak, jak wyglądał w dniu szesnastych urodzin Chance'a. Widocznie Ed miał naprawdę wielkie wyrzuty sumienia, jeśli tak się pospieszył z robotą. Chance teraz też nie tracił czasu - wskoczył radośnie do samochodu i ledwo pomachał Hannie ręką na pożegnanie. Nie tak sobie wyobrażała zakończenie upojnego wieczoru.

Usłyszała dźwięk dzwoniącego telefonu, więc pobiegła do najbliższego aparatu w kuchni.

- Gdzie się podziewałaś? - rozległ się w słuchawce zdenerwowany głos Ady. - Dzwonię do ciebie przez całe popołudnie.

- „Dzień dobry, Hanno. Jak się masz? Dobrze, mamó, a ty? Doskonale. Jak ci minął dzień? Bardzo dobrze, a tobie? Wspaniale, moja droga”.

- Dlaczego się zaraz obrażasz? - spytała matka urażonym tonem.

- Wcale nie. - Hanna podeszła do zlewu i zaczęła zmywać naczynia pozostawione tam od śniadania, przytrzymując słuchawkę ramieniem. - Lubię, kiedy dzwonisz, ale nie chciałabym, żebyś pytała mnie tylko, czy wzięłam zastrzyk albo czy sprawdziłam poziom cukru i tym podobne rzeczy.

- Jestem twoją matką i niepokoję się o ciebie. W końcu nie są to bezpodstawne obawy.

Mniej więcej rok temu Ada znalazła córkę leżącą na podłodze, w stanie śpiączki cukrzycowej. Hanna wiedziała, że matka jeszcze do tej pory nie może zapomnieć tej chwili, kiedy wydawało jej się, że może stracić swoje jedyne dziecko.

Tamto zresztą wydarzyło się przypadkiem - po prostu zapomniała wziąć kolejny zastrzyk, zapomniała o jedzeniu. Nie zdawała sobie sprawy, w jak głębokiej znalazła się depresji po bezsensownej śmierci niewiernego Dave'a.

- Przecież obiecałam ci, że coś takiego już się nigdy nie powtórzy - przypomniała.

- Masz rację, powinnam była najpierw powiedzieć „dzień dobry”. Może zaczniemy jeszcze raz. Dzień dobry, córeczko.

- Dzień dobry, mamó.

- A teraz powiedz, gdzie byłaś.

- W kinie. Bawiliśmy się wspaniale.

„Wspaniale” to zbyt słabe określenie dla takiego wieczoru. Było tak romantycznie! Czasami dłonie jej i Chance'a spotykały się w torebce z prażoną kukurydzą, a wtedy ogarniał ją płomień. A raz on ujął jej palce i powoli, metodycznie zlizywał z nich sól i okruchy, a ona dostawała dreszczy.

- Hanno, śpisz?

- Nie, dlaczego tak sądzisz?

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Jakie pytanie?

- Pytałam, co to znaczy „my”?

- Ja i Chance.

W słuchawce na chwilę zapanowała cisza.

- Czy będziesz widywać się z nim częściej? To znaczy towarzyszko?

- Mam taką nadzieję.

- Och, dziecko - powiedziała Ada cicho i Hanna była pewna, że jej matka potrząsa głową w desperacji. - Co ja najlepszego zrobiłam! Nie powinnam była proponować, żeby się wprowadził do twojego mieszkania. Ale nigdy bym nie przypuszczała, że wy... no, rozumiesz, że znajdziecie wspólny język. Jesteście tacy różni. Poza tym on ma zostać tu tylko na jakiś czas.

- Przy odpowiedniej zachęcie mógłby zostać na stałe.

- Coś takiego nigdy się nie stanie.

- Nigdy nie mów nigdy.

- Słuchaj, jestem twoją matką i wiem, co będzie dla ciebie najlepsze.

Nie wiąż się z tym człowiekiem. Nie chcę, żebyś znowu cierpiała.

Hanna przymknęła oczy, myśląc o tym, że ostrzeżenie przyszło trochę za późno. Chyba już zdążyła się zakochać.

- Czy ty słuchasz, co do ciebie mówię? Zapomnij o McCoyu.

Żadnych wypraw do kina, żadnych spotkań. Jego kontrakt tutaj skończy się i on wyjedzie, nawet nie pomachawszy ci na pożegnanie.

- Nie masz racji, mammo.

Nie potrafiłaby jej wytłumaczyć, że są dla siebie stworzeni, że pasują do siebie jak dwie połówki jabłka. Inaczej przecież pocałunek nie zrobiłby na nich tak porażającego wrażenia.

- Ja zawsze mam rację - odparła Ada, odkładając słuchawkę.

- Każdy musi się pomylić, choćby raz w swoim życiu - powiedziała Hanna do siebie. - Nawet ty.

Nie żałował, że rozstał się z nią tak wcześnie. Jej obecność rozpraszała go, a przecież miał zadanie do wykonania. Za to teraz był niemal pewien, że gdy jego misja dobiegnie końca, nie będzie miał problemów z namówieniem jej na wspólny wypad do Meksyku. A tam może sobie pozwolić na dwa tygodnie całkowitego odprężenia.

Co do jednej rzeczy miała rację. Ed rzeczywiście doskonale wyregulował silnik w jego samochodzie i już dawno jazda nie sprawiała mu takiej przyjemności.

Pojechał na komendę policji, gdzie Turley oddał mu do dyspozycji swój komputer. Przez dwie godziny pracował przy nim nieprzerwanie i udało mu się sprawdzić wszystko, co zamierzał. Tego ranka przeprowadził też inspekcję kilku podległych mu parków i znajdujących się w nich należących do miasta budynków.

Komendant Turley również się pojawił, mimo późnej pory, i Chance ucieszył się, że będzie mógł z nim omówić najświeższe informacje.

- Znalazłeś coś ciekawego? - spytał komendant, przysiadając na brzegu biurka. - Przeczucie coś ci podpowiedziało?

- Jestem coraz bliżej - odparł Chance. - Waśnie przeczytałem raporty z minionych pięciu lat, dotyczące przestępstw związanych z narkotykami.

- Niezbyt dużo tego.

- Ano nie. Szczerze mówiąc, jeszcze z czymś takim się nie zetknąłem. Wasze miasto jest czyste jak łza. Na pewno musicie coś ukrywać, jakieś sekretne brudy - dodał, śmiejąc się.

- Nie mogłem uwierzyć, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o narkotykach w naszym mieście. Ale potem znaleziono tę ciężarówkę na autostradzie, całą wyładowaną heroiną, a w kabinie faceta, który prowadził kampanię wyborczą Maca MacNaughtona, z dziurą od kuli w głowie.

- MacNaughton to ten, który startował w wyborach przeciwko Adzie?

- Właśnie. Nigdy za nim nie przepadałem i gdybym miał wytypować kogoś, kto może mieć związki ze światem przestępczym, postawiłbym na niego. Ale ciężarówka była czysta.

- Masz w ogóle coś na niego?

- Bardzo bym chciał, ale jeszcze nic nie znalazłem.

- Kiedy miało miejsce to morderstwo?

- Dwanaście dni temu. Od razu zadzwoniłem do Jima, a on przysłał tu ciebie.

- Gdzie teraz jest ta ciężarówka?

- W policyjnym garażu. Ale sprawdziliśmy dokładnie, nic więcej tam nie ma.

Chance żałował, że nie było go na miejscu, kiedy znaleziono ciężarówkę. Im świeższe były ślady, tym lepiej działała jego intuicja. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Żaluzje były podniesione i pomyślał, że gdyby ktoś chciał go zastrzelić, nie mógłby marzyć o wyraźniejszym celu.

Wrócił do biurka, wziął kartkę papieru i narysował na nim mapkę przedstawiającą miejsce, które odwiedził tego ranka. Miał pewien plan.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego dnia rano Hanna usiadła na miejscu obok kierowcy i nie zważając na dobre maniery, które, jak przystało na panienkę z Południa, miała wpojone od dzieciństwa, ziewnęła głośno i otwarcie. Potem zaś zerknęła na Chance'a, czy na pewno to usłyszał. Niestety, on zupełnie ją zignorował.

To nie było w porządku. Zawsze starała się pospać dłużej w drugi poniedziałek miesiąca, bo cały weekend miała zajęty przygotowaniem do comiesięcznego przyjęcia sióstr Fritz-Simmons. I jeszcze na dodatek każdą wolną chwilę albo spędzała z nim, albo też myśląc o nim, więc musiała posiedzieć dłużej, żeby uporać się ze wszystkim.

A tu on zjawia się w środku nocy, kiedy jest jeszcze ciemno, wali do drzwi, chociaż potem zarzekał się, że stukał delikatnie. Na dodatek wyrwał ją z samego środka snu o nim samym, akurat w momencie, kiedy miały spełnić się jej marzenia, po czym oznajmił, że da jej teraz lekcję jazdy. Tak jakby ona potrzebowała jakiegokolwiek lekcji.

- Tylko mleczarze wstają tak wcześnie - powiedziała, ziewając po raz kolejny.

- Naprawdę?

- Tak naprawdę to nie. Już nie. Mleczarze pracują teraz o bardziej przyzwoitej porze. Ich związek zawodowy to wywalczył.

- Nie wiedziałem, że mają związek zawodowy.

- Co za różnica?

- Żadna. Po prostu prowadzę z tobą rozmowę.

- Nie musisz.

- Przecież to ty zaczęłaś.

Ona? O wpół do szóstej o świcie? Nawet nie zdążyła napić się kawy.

- Wiem już, dlaczego to robisz - wymamrotała z przymkniętymi oczami. - Chcesz zobaczyć, czy bez makijażu wyglądam tak samo jak później, kiedy jestem umalowana. Teraz już się przekonałeś. Nie.

- Wyglądasz bardzo dobrze - odparł, przyglądając jej się uważnie. - To nie twój wygląd wymaga poprawy, tylko sposób prowadzenia samochodu.

- Nauczyłam się jeździć, kiedy jeszcze byłam w szkole średniej.

Wtedy też miała trudności z parkowaniem. Poza tym nie musi przecież mu opowiadać, że egzamin z jazdy zdała za trzecim podejściem i chyba tylko dlatego, że jej matka w desperacji pożyczyła od znajomych niemowlę cierpiące na kolkę i siedziała z nim na tylnym siedzeniu. Egzaminator przepuścił Hanę, a potem zwolnił się na resztę dnia z powodu straszliwej migreny.

- Może o to właśnie chodzi - powiedział Chance. - Zapomniałaś już wszystkiego, czego się nauczyłaś.

- Niczego nie zapomniałam. Po prostu takie rzeczy się zdarzają. Wiesz, jak to jest - czasami wszystko idzie jak po maśle, a innym razem masz zły dzień i nic się nie udaje. Nawet fryzura.

- Często musisz mieć takie dni, prawda?

A więc zwrócił uwagę na jej potargane włosy. Wspaniale. Z drugiej strony, jak miała wyglądać, jeśli dał jej tylko pięć minut czasu na wzięcie prysznic?

- Od czasu do czasu. To znaczy, że mnie rozumiesz?

- Rozumiem tylko to, że któregoś dnia, cofając, możesz uderzyć nie w zaparkowany samochód, tylko przejechać bawiące się dziecko.

- Nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego - odparła, patrząc na niego z oburzeniem. - Nigdy. Przecież jestem ostrożna.

- Nie powiedziałbym tego, sądząc po stylu twojej jazdy.

- Mylisz to, jak jeżdżę, z umiejętnością manewrowania. Samochód prowadzę bardzo dobrze, tylko z parkowaniem mam problemy.

- Chyba zapomniałaś, że wczoraj z tobą jechałem - zauważył Chance, skręcając w prawo.

- Przy tobie staję się nerwowa. Przecież ci to mówiłam. Zwykle nie jestem taka roztrzęsiona. Nie potrzebuję żadnych lekcji, ale zgodziłam się wyjść z tobą o tak nieprzyzwoitej godzinie, bo czułam, że doskwiera ci samotność - dodała ciszej.

- Co powiedziałaś?

- Nic takiego. Po prostu bądźmy szczerzy - nie chodzi o to, żeby wypełnić czymś długie, puste godziny. Jednak nie da się ukryć, że szukasz mojego towarzystwa i to, że teraz jesteśmy razem, nie ma nic wspólnego z nauką jazdy. Ej! Uważaj, jak jedziesz!

Chance raptownie zahamował, zatrzymując się niemal w połowie skrzyżowania ze znakiem „stop”.

- Sam widzisz - powiedziała z politowaniem w głosie.

- Specjalnie starasz się mnie rozproszyć.

- Wcale nie - odparła, kładąc sobie dłoń na kolanie i przebierając palcami.

Chance podążył wzrokiem za jej dłonią, w rezultacie czego zawadził kołem o krawężnik, kiedy wjeżdżał na duży parking przy budynku szkoły.

- Nic nie mów - warknął za złością, a ona tylko odwróciła się, żeby ukryć uśmiech satysfakcji.

Zatrzymał samochód i wysiadł, nie gasząc silnika.

- Mamy godzinę, zanim pojawią się pierwsi uczniowie. Siadaj za kierownicą.

Posłusznie wsiadła, zaniknęła drzwi i ruszyła. Słyszała, że on coś krzyczy, i widziała w lusterku, jak macha rękami. Zrobiła równiutkie kółko, a potem stanęła przy nim.

- Pojechałaś beze mnie - powiedział oskarżycielskim tonem.

- Wiesz co, coś sobie przez ten czas przemyślałam. Tak naprawdę, to nie rozumiem, o co ci chodzi. Nigdy nie dostałam mandatu, nigdy nie zostałam zatrzymana za przekroczenie szybkości czy niebezpieczną jazdę. Nie mam żadnych punktów karnych. A ty?

- Co ja?

- Nic. Powiem ci, co teraz zrobimy.

- Nie - przerwał Chance. - To ja ci powiem. Zamieńmy się miejscami, a odwiozę cię do domu.

- Ani mi się śni. Nie ruszę się stąd. Możesz usiąść obok. A teraz zawiozę cię, bardzo ostrożnie, na śniadanie.

- Muszę jechać do pracy.

- Musisz zjeść śniadanie, a ja - jak wiesz - muszę przestrzegać reżimu, jeśli chodzi o jedzenie o określonych porach.

Spojrzała na niego niepewnie, czekając na reakcję. Dave dostawał wysypki na sam dźwięk słowa „dieta”.

- Miałem zamiar tylko coś przegryźć po drodze, na przykład pączka.

- Dobry pomysł, ale mnie nie wolno jeść pączków. Myślałam o miejscu, gdzie podają jajecznicę, chrupiący, przysmażany bekon, tosty, gorącą kawę... Co powiesz na to?

- Uda ci się dowieźć nas tam żywych?

- A czy życie przeleciało ci przed oczami? Chance potrząsnął głową.

- No to masz odpowiedź.

Kiedy już siedzieli wygodnie nad kawą, Hanna znów zaskoczyła go postawionym zniechęcającym żądaniem.

- Teraz powinniśmy opracować plan.

- Jaki znowu plan?

- Dla drużyny. Nie pamiętasz, że zostałeś trenerem?

- Jak mógłbym zapomnieć!

W rzeczywistości zapomniał i żałował, że ona o tym pamięta.

- To wspaniałe dzieciaki, chociaż niewiele jeszcze umieją. Ale w końcu mają dopiero od sześciu do ośmiu lat.

- Dzieciaki? - Przecież nie było mowy o żadnych dzieciakach. Nigdy by się nie zgodził na nic, co miałoby związek z dziećmi. Następnym razem jeszcze każe mu wyprowadzać psy na spacer. - Nie było takiej umowy.

- Oczywiście, że była. Zgodziłeś się zostać trenerem.

- Zgodziłem się, bo myślałem, że chodzi o żeńską drużynę. Nie potrafię postępować z dziećmi, ale z kobietami tak. Dzieci są małe...

- Ale kiedyś urosną.

- Może tak, ale nie mogę tego zrobić. Słuchaj, powiem ci coś.

Nikommu o tym nie mówiłem, bo było mi wstyd.

- Och, Chance. - Ujęła go za rękę. - Nie wstydz się. Mnie możesz wszystko powiedzieć.

- Nigdy w życiu nie grałem w baseball.

- To świetnie - zawołała z radością w głosie. - Tak jest lepiej, bo nie będziesz im przekazywał żadnych swoich złych nawyków. - Sięgnęła do torby, wyjęła stamtąd książkę i podała mu. - Proszę, tu jest wszystko, czego potrzebujesz. W tym jednym małym tomiku.

- Nie takim znowu małym. - Chance wziął książkę do ręki. - Waży chyba ze trzy kilo.

- To jest tylko pierwszy tom, ale nie sądzę, żeby drugi był ci potrzebny. Poza tym pamiętaj, że tam będą rodzice, którzy zasypią cię radami.

- To dobrze, bo będę potrzebował pomocy.

- Ale od nich jej nie dostaniesz. Oni będą tylko krzyczeć na ciebie, przeklinać, onieśmielać...

- Coś takiego przecież nie pomaga.

- Oczywiście, że nie. Ale tobie nie będzie przeszkadzało, bo dam ci to. - Znow wyjęła coś z torebki. - Proszę, tu masz stopery do uszu. Rodzice są zawsze negatywnie nastawieni, lepiej więc nie słyszeć tego, co będą mówili.

- Dlaczego to wszystko robisz? - spytał. Podziwiał ją za to, że starała się ulepszyć świat, mimo że, jak właśnie przyznała, jej wysiłki były nie doceniane.

- Gdybym ja się tego nie podjęła, to w ogóle nikt by się nie zajął tymi dziećmi. One nie są tak dobre, żeby załapać się do reprezentacji szkoły czy nawet na rezerwowych do drugiej drużyny. Nie miałyby w ogóle szansy, żeby grać.

- No, dobrze - powiedział. Po czymś takim przecież nie mógłby dłużej się sprzeciwiać. - Co mam robić, zważywszy, że moje umiejętności są mocno ograniczone?

- Och, nie mów tak. Zobaczysz, że potrafisz o wiele więcej, niż ci się wydaje - odparła uszczęśliwiona. - Jutro wieczorem mamy pierwszy trening w parku numer sześć. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak.

- Dobrze. W najbliższy weekend przypada doroczne święto. Główne obchody są zawsze przed budynkiem cukrowni. Ta impreza jest dla nas bardzo ważna, gdyż jest to właściwie jedyna okazja, kiedy mamy szansę zdobyć jakieś nagrody. W tych konkurencjach nie liczą się umiejętności, tylko raczej zapał i pomysłowość.

- Co tam trzeba robić?

- Każda drużyna odpowiada za jeden stragan, a oprócz tego robimy wystawę. W tym roku nie sprzedajemy cukierków, jak dawniej, ale skrzynki z cukrem jako cegiełki. Ja z kolei wymyśliłam, że użyję skrzynek do zbudowania repliki naszego ratusza. Zobaczysz, że to wspaniały pomysł.

- Jesteś pewna, że mogę na coś się przydać?

- Oczywiście - odparła, patrząc na niego przeciągle. - Jeśli pomożesz, będziesz naszym bohaterem. W przeciwnym razie nie chcę cię znać.

Pochylił się nad stołem i palcem starł okruchy grzanki z jej brody. Hanna zaczerwieniła się. Nie miał innego wyjścia, jak zgodzić się na jej żądanie. Pewnie, że chciał zostać jej bohaterem.

Po śniadaniu odwiózł ją do domu, przesiadł się do mustanga i pojechał raz jeszcze do parku numer sześć. Po raz pierwszy był tam poprzedniego dnia rano, a potem wieczorem, z komendantem Turleyem. Od dnia przyjazdu odwiedził wszystkie parki leżące na terenie jego okręgu, ale w żadnym z nich, oprócz właśnie parku numer sześć, jego intuicja nic mu nie podpowiedziała.

Teraz wpadł tu tylko po to, żeby raz jeszcze potwierdzić przeczucia, żeby sprawdzić, czy pracuje prawidłowo. Najpierw okrążył budynek, w którym - jak powiedział mu Turley - przechowywano sprzęt sportowy. Nie poczuł żadnych sygnałów, co w tej sytuacji było dobrym znakiem.

W oddali było widać boisko do baseballu. Następny budynek mieścił stoiska, na których odbywał się doroczny targ. Chance zbliżał się do niego powoli i miał takie samo wrażenie, jak poprzedniego dnia - im bliżej budynku się znajdował, tym silniejsze prądy przebiegały jego ciało. Kiedy w końcu stanął w drzwiach, krew dudniła mu w żyłach i czuł bolesne pulsowanie w skroniach. Sygnał był silniejszy nawet niż poprzedniego wieczoru.

Powoli obszedł budynek wkoło. Kiedy pochylił się, by podnieść puszkę po coca-coli, pomacał rewolwer przymocowany pod spodniami w okolicach kostki. Instynkt mówił mu, że jest coraz bliżej celu. W takich chwilach zawsze czuł wielką radość, nawet coś w rodzaju euforii, a teraz po raz pierwszy miał wrażenie, jakby coś tracił. Przecież wiedział, że to potrwa tylko tydzień lub dwa. Wiedział od samego początku.

Stanął w drzwiach, które były teraz szeroko otwarte - nie tak jak w nocy, kiedy musiał z komendantem wślizgnąć się tam ukradkiem. Znaleźli zresztą to, czego Chance szukał.

- Halo? Jest tam kto? - zawołał głośno, wchodząc do środka.

- Już idę! - odkrzyknął ktoś, kto znajdował się wewnątrz i za moment stanął przy nim wysoki, szczupły mężczyzna.

- Chyba pamiętam pana z przyjęcia? Pan McCoy, prawda? Jestem Elvin Evans.

- Pan, zdaje się, jest agentem ubezpieczeniowym Hanny? - spytał Chance. Ciśnienie wyraźnie mu się podniosło.

- Tak. Ale z niej numer, co? Dziewięć stłuczek tylko w tym roku.

- Słyszałem - rzekł Chance, zauważając w myśli, że najwyraźniej jeszcze nie powiedziała mu o dziesiątej.

- Nie chciałbym wtrącać się w cudze sprawy, ale czy to prawda, że mieszka pan z nią?

- Nie z nią, tylko wynajmuję od niej mieszkanie nad garażem.

- A więc w końcu udało jej się je wynająć? Szkoda, będę miał mniejszą prowizję od ubezpieczenia - odparł Elvin ze śmiechem. - Ale osobiście jestem zadowolony, że to okazało się plotką, bo Hanna i ja... no, wie pan... - Urwał i mrugnął porozumiewawczo.

- Nie wiem, co pan ma na myśli - odparł Chance, starając się trzymać ręce na wodzy, chociaż dłonie same zacisnęły mu się w pięści.

- Kochałem się w niej już od trzeciej klasy. Wszyscy inni też. Tyle że ona nigdy nie traktowała poważnie nas, miejscowych chłopaków.

Myślałem, że straciłem ją na zawsze, ale potem tamten Dave się zabił, ja się rozwiodłem i też jestem wolny, więc pomyślałem, że może mam jakąś szansę.

Po moim trupie, odpowiedział mu w myśli Chance.

- Jedyne dobry pomysł, to ożenić się z nią. Peter też za nią przepada.

- Peter?

- Mój syn. A wie pan, co mówią o rudych kobietach? Że są gorące.

To by zrównoważyło jej gotowanie, rozumie pan, co mam na myśli? -
dodał, uśmiechając się do niego oblesnie.

- Tak.

Czuł się tak, jakby pod czaszką wybuchły mu fajerwerki. Nie wiedział tylko, czy to z powodu Elvina i heroiny, czy samego Elvina. Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić i rozjaśnić myśli.

- Czy tutaj coś się przechowuje?

- Jedzenie. Chodźmy, pokażę panu magazyn. Wczoraj wieczorem był jeszcze pusty, zaglądali przecież do środka, ale dzisiaj Chance ujrzał pudła i puszki z napojami, zajmujące nie więcej niż jedną czwartą powierzchni.

- Nasz sklepik rusza równo z otwarciem sezonu baseballowego.

Największe dochody mamy ze sprzedaży cukru, a w tym roku spodziewamy się rekordu, bo zamówiliśmy pamiątkowe pudełka. Cały dochód przeznaczony jest na wyposażenie parku - objaśniał Elvin, biorąc do rąk dwa pudełka z cukrem, jedyne, jakie leżały na półce. - Ten cukier kupiłem do domu, bo muszę przygotować ciasteczka dla drużyny, w której jest Peter.

Na pudełkach umieszczony był rysunek cukrowni.

- Podoba mi się to opakowanie - powiedział Chance.

- Ładne, prawda? Specjalnie na nasz tegoroczny jarmark. Nigdzie indziej nie będą sprzedawane.

- Mogę zobaczyć?

Elvin zawahał się na ułamek sekundy, ale podał mu pudełko. Kiedy Chance wziął je do ręki, o mało nie upuścił go na ziemię. Do tej pory miał przeczucia, teraz zaś nabył niepodważalnej pewności, że oto znalazł to, czego szukał.

- Kiedy przywiozą resztę?

- Nie wiem - odparł Elvin, wzruszając ramionami. - Za parę dni.

Chance doskonale wiedział, że Elvin potrafiłby określić dokładny czas dostawy i że będzie tu na nią oczekiwał.

- Mógłbym zabrać jedno dla Hanny? Akurat zabrakło jej cukru.

- Przykro mi, ale nie mogę panu dać - przeprosił Elvin.

- Potrzebne mi obie paczki, Ale jeśli chce pan kupić cukier, to sklep spożywczy jest otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mam nadzieję, że to panu pomoże.

- Oczywiście, i to bardziej, niż pan myśli. Do widzenia - powiedział Chance, opuszczając magazyn.

W drodze do domu wstąpił na komendę, żeby opowiedzieć Turleyowi o spotkaniu z Elvinem. Wreszcie już z domu zadzwonił do Jima i poprosił o więcej informacji na temat Elvina, MacNaughtona i Henry'ego Perkinsa - mężczyzny, którego znaleziono martwego w ciężarówce. Teraz pozostawało tylko czekać, a to była czynność, której najbardziej nie lubił.

Pokręcił się trochę po mieszkaniu, kilka razy wyjrzał przez okno, jakby na kogoś czekał, aż w końcu zrzucił z siebie ubranie i poszedł wziąć prysznic.

Tak naprawdę Hanna nie sądziła, że on rzeczywiście przyjdzie na popołudniowe spotkanie przy herbacie u sióstr Fritz-Simmons. Myślała, że to tylko zdawkowa obietnica, kiedy powiedział jej, że spróbuje znaleźć czas.

Kiedy się tylko pojawił, Millie Fritz-Simmons wpadła do kuchni z okrzykiem, że przyszedł „ten młodzieniec od Hanny”. Za nią dreptała jej siostra-bliźniaczka, Mattie, a za moment do kuchni wszedł Chance we własnej osobie.

Wystarczyło jedno spojrzenie na niego, żeby zrozumieć reakcję sióstr, ale Hanna była zbyt zajęta, by zwrócić na to uwagę. Tym razem zamiast pięćdziesięciu pań przybyło prawie siedemdziesiąt i teraz Hanna uwijała się jak w ukropie, szykując dodatkowe tartinki z twarogiem i ananasek.

- Masz ładne dzinsy - powiedziała, kiedy wreszcie uporała się z najpilniejszą robotą. Właściwie najbardziej podobał jej się sposób, w jaki opinały ściśle jego ciało.

- A ty masz ładną... co to właściwie jest?

- Sukienka.

- Aha. A gdzie są twoje nogi?

- Pod spodem.

- Nie wierzę - odparł, próbując podnieść brzeg sukni. - Tam nic nie ma.

- Jeśli chcesz zobaczyć nogi, to musisz na to zasłużyć.

- Jestem więc na twoje usługi, pani. - Ukłonił się w pas. Wziął tacę z maleńkimi kanapkami i słuchał przez chwilę wskazówek, gdzie ma znaleźć gości. Były nawet dość dokładne, zważywszy, że pochodziły od Hanny. Brzmiały one mianowicie: „idź tam, gdzie jest najgłośniejsze”.

Najgłośniejsze było w ogrodzie. Rozstawione stoły osłaniał duży namiot w białe i zielone pasy. Chance postawił tacę na wolnym miejscu, obok innych kanapek - z łososiem, ogórkiem i rzeżuchą. Panie przechadzały się i rozmawiały, popijając mrożoną herbatę z kryształowych szklaneczek albo

też gorącą w filiżankach z cieniutkiej chińskiej porcelany. Były ubrane najczęściej w kolorowe, powiewne sukienki, a większość miała na głowach słomkowe kapelusze, przystrojone kokardami, kwiatami i nawet wypchanymi ptaszkami. Na dłoniach miały białe, koronkowe rękawiczki, ale najbardziej zdziwiło go to, że one naprawdę jadły. Nikt nie chował niczego do torebek, kieszeni czy doniczek z kwiatami.

Przyjęcie miało się ku końcowi, kiedy Chance znów pojawił się w kuchni.

- Czy goście jedzą słodycze? - zapytała Hanna z niepokojem.

- Już mało co zostało - odparł.

- To dobrze, bo tak się bałam. Muszę ci się do czegoś przyznać - szepnęła, chociaż byli w tej chwili sami. - Musiałam kupić eklery i ciasto z truskawkami we francuskiej cukierni, bo nie zdążyłam ich zrobić przez to kino. Czuję się okropnie. Myślisz, że siostry coś zauważyły? Ale bajaderki są moje.

- Nie sądzę, żeby ktoś się domyślił. - To dlatego desery miały takie powodzenie! - Sama robiłaś kanapki?

- Tak, nawet sama piekłam chleb. Szczycę się tym, że mogę przygotować przyjęcie od podstaw wraz z najdrobniejszymi szczegółami. Mam dwie dziewczyny, które układają kwiaty, aranżują nakrycia, a potem podają do stołu. Ja przygotowuję jedzenie, ale nasze sukcesy wynikają z pracy zespołowej.

- Tak czy owak przyjęcie było udane. Zobacz, jak wszyscy się uśmiechają.

- Przykro mi, że muszę cię wyprowadzić z błędu, ale one uśmiechałyby się nawet do flaków wołowych. Tak zostały wychowane.

Chance oparł się o zlew i przyglądał się Hannie.

- Masz ochotę na coś słodkiego? - spytał znienacka.

- Wiesz, że nie mogę.

- Ale ja mogę - odparł, przyciągając ją do siebie. Zaczął całować ją powoli, najpierw w szyję, następnie wyżej i jeszcze wyżej, aż doszedł do ucha.

Tymczasem ona jęknęła i odwróciła głowę, szukając jego ust.

- Hanno! - zawołała Mattie Fritz-Simmons, wpadając do kuchni. - O, przepraszam - wybąkała, wycofując się.

- Mattie, poczekaj! - Hanna wyzwoliła się z objęć Chance'a. - Czym mogę ci służyć?

- Chciałam tylko zapytać, czy zostawisz trochę tych tartinek z ogórkiem, jeśli nie wszystkie są zjedzone. Wiesz, na śniadanie na jutro.

- Oczywiście. Przecież zawsze zostawiam wszystkie resztki.

- Wiem, kochana. A jego też zostawisz?

- On nie jest resztką.

- No tak, ale myślałyśmy z siostrą, że jesteś taka zajęta i może przeoczysz jego brak, a wtedy my i pozostałe dziewczyny miałybyśmy szansę na chwilę szczęścia.

Kiedy już skończyli się śmiać, Hanna spakowała swoje rzeczy, zachowując się tak, jakby rzeczywiście zapomniała o obecności Chance'a. Czy szybko wyrzuci go z pamięci po jego wyjeździe z Sugar Land? Zawsze myślał, że o nim nie można zapomnieć.

Dzisiejszy dzień sprawił, że spojrzał na Hannę nieco inaczej. Do tej pory myślał, że ona jest bezradna jak dziecko. Teraz musiał zmienić zdanie. Może nie potrafi piec ciastek, ale z innymi rzeczami daje sobie radę. Jest w stanie zadbać o siebie bez jego pomocy. To dobrze, będzie mógł wyjechać stąd bez wyrzutów sumienia.

Tylko dlaczego zamiast się cieszyć, odczuwa jakąś dziwną pustkę w środku?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Tak, skarbie. Właśnie tak - mruzczał Chance, głaszcząc swój ukochany samochód po desce rozdzielczej.

Była szósta po południu we wtorek, a on jechał do parku numer sześć, żeby odbyć pierwszy w życiu trening. Był szczęśliwy jak dziecko, że wreszcie ma swojego mustanga. Nic się nie umywało do jazdy takim samochodem. Był zresztą tak z nim zżyty, że zawsze wiedział, jak się zachowa. W przeciwieństwie do Hanny.

Właśnie zobaczył ją, wjeżdżając na parking. Z daleka wydawała się bardzo wysoka, otoczona gromadką dzieci sięgających jej do pasa. Tak, musiał po cichu przyznać, że tęsknił za nią. A mówiąc ściślej, szalał z pożądania. Wystarczyła jedna myśl o niej, jedno spojrzenie, i w ustach mu zasychało, a ciało płonęło. Miał nadzieję, że ona potrafi udzielać pierwszej pomocy, bo jeśli serce będzie mu tak szaleńczo galopować, może się to skończyć zawałem.

Zatrzymał się w pewnej odległości od nich, a czternaścioro dzieci wpiło zachwycony wzrok w jaskrawoczerwonego mustanga. Piętnasta osoba, czyli Hanna, nie odrywała oczu od jego kierowcy. Wsiadł i zasalutował dzieciom, a one pomachały mu radośnie, zaś Hannę obdarzył uśmiechem, przez który jej nogi stały się jak z waty.

Patrzyła na niego z uśmiechem. Widziała, jak ściąga koszulę przez głowę, i wtedy jej serce zaczęło trzepotać w panice. Dlaczego on to zrobił? I tak obawiała się, że zemdleje, kiedy ją całował, ale nie przypuszczała, że aż tak zareaguje na widok jego nagiej piersi.

Chance uniósł rękę. Bicepsy na jego ramieniu grały pod skórą, a ona rozejrzała się za czymś zimnym do picia. Wziął szmatę i zaczął powoli polerować dach samochodu.

Wyprostowała się i ruszyła w jego stronę, a dzieci podążyły za nią.

- Nie masz na sobie stroju sportowego - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- Przecież mam - odparł, wskazując gestem swoje szorty i adidas.

- Nie włożyłeś koszulki.

- Mam ją tutaj.

- Musisz ją włożyć - upierała się, a serce dudniło jej głucho.

- Przecież jest gorąco.

Tak jakby o tym nie wiedziała. Pot spływał z niej strumieniami.

- Tu są dzieci. Powinieneś wyglądać przyzwoicie.

- Spójrz lepiej na nich - odparł ze śmiechem. Odwróciła się. Wszyscy chłopcy pozdejmowali koszulki, a dziewczęta patrzyły na nich z zazdrością.

- Włóż koszulę - syknęła, a potem powtórzyła to samo chłopcom. Co prawda z ociąganiem, ale posłusznie zrobili, co im poleciła.

- Robisz wiele hałasu o nic - odezwał się Chance z drwiącym uśmiechem.

Częściowo miał rację. Robiła wiele hałasu, ale na pewno nie o nic. Zwłaszcza kiedy jego spojrzenie mówiło, że najchętniej rozebrałby i ją.

Włożyła gwizdek do ust i zagwizdała, jak potrafiła najgłośniej.

- Drużyna, za mną - zawołała i odeszła marszowym krokiem, nie zaszczycając go nawet pożegnalnym spojrzeniem.

Pochód zatrzymał się na trawniku przed budynkiem ze straganami. Wszyscy złożyli bagaże na trawie, po czym dzieci usiadły w kole, a właściwie czymś zbliżonym bardziej do elipsy. Hanna wyjęła z plecaka plastikowy pojemnik z jakąś żółtą pastą. Chance przyglądał się jej, jak pochylała się, wypinając pupę, i pragnął, żeby została na dłużej w tej pozycji.

- Wiecie, że mamy zbudować model dawnego ratusza w Sugar Land, używając do tego pudełek z cukrem?

Dzieci przytaknęły zgodnie.

- Chance? - Odwróciła się. W jej włosach igrały promyki słońca. - Czy mógłbyś pójść do środka i przynieść nam sześć pudełek z cukrem? Tych z okolicznościowymi napisami. Wiesz, o czym mówię, prawda?

- Tak, ale byłem tu wczoraj i rozmawiałem z Elvinem. Cukier jeszcze nie został dostarczony.

- Teraz już jest. Zajrzałam do środka i widziałam, że magazyn jest pełny.

Chance szedł wolnym krokiem do budynku, a w głowie kołatały mu się dwie myśli. Pierwsza i ważniejsza, że jego szósty zmysł nie dał mu żadnego sygnału, kiedy dziś przyjechał do parku. Widocznie był zbyt zajęty myślami o Hannie. I druga sprawa, że skoro towar jest już na miejscu, jego pobyt w Sugar Land dobiega kresu.

Drzwi do magazynu były otwarte. Od razu, jak tylko przekroczył próg, oślepiła go znajoma błyskawica przeczucia. Zapalił światło i rozejrzał się wokoło. Wszędzie piętrzyły się kartony - niektóre szczelnie zamknięte, inne rozpieczętowane. Setki kartonów, a w nich cała masa

heroiny, ukrytej w okolicznościowych pudełkach. Elvin też dzisiaj tu był. Zostawił swoje formularze inwentaryzacyjne na ladzie. Aroganckie bydlę. Taki pewny, że nic mu nie grozi.

- Panie trenerze! - Jedno z dzieci przybiegło za nim. - Rany! Ile tu cukru.

- Faktycznie sporo. Chciałeś coś?

- Trener Hanna posłała mnie, żebym sprawdził, czy pan się nie zgubił.

- Powiedz jej, że już idę.

Wyjął z kartonu sześć pudełek. Fałszywy cukier niemal parzył go w palce. Ale kiedy wracał do Hanny, to uczucie stawało się coraz słabsze i pół metra od niej zniknęło całkowicie. Pudełka z cukrem wydawały się czymś zwyczajnym i w powietrzu nie unosiło się nic niezwykłego. A on czuł teraz strach.

- Ponieważ nie wiemy, jak wyglądał dawny ratusz, musimy posłużyć się naszą wyobraźnią - mówiła Hanna. - W tym roku dostaliśmy stragan numer... - zerknęła do swoich notatek - dziesięć. Powiem wam teraz, co zrobimy. To jest specjalny klej, którym można połączyć różne rzeczy, ale tylko tymczasowo. - Zdjęła pokrywkę i włożyła palec do żółtej mazi, a potem przylepiła mały kleks kleju na pudełku cukru. - Proszę, tak to działa - dodała, przykładając doń drugie pudełko, a następnie unosząc oba w górę.

- Te pudełka, których nie zużyjemy do zbudowania modelu, będziemy mogli sprzedać na jarmarku. Pamiętajcie tylko, że mamy do dyspozycji jedynie nasz przydział, to znaczy dwadzieścia pięć pudełek na osobę.

Chance poczuł, że jest mu jej żal. Nie będzie mogła przecież zbudować żadnego modelu, do soboty tych pudełek już tu nie będzie. Miał nadzieję, że przygotowała sobie jakiś awaryjny plan, tak na wszelki wypadek.

- W sobotę przyjdźcie tutaj na ósmą rano i kto może, niech przyprowadzi rodziców do pomocy, dobrze? Są jakieś pytania? Nie? No to do roboty.

- Ponieważ nie masz doświadczenia w pracy z dziećmi, ułatwię ci zadanie - powiedziała do Chance'a przyciszonym głosem. - Vicky i Trish najlepiej rzucają z całej drużyny, a Peter i Chucky uczą się chwytac. Zabierz ich tam i potrenujcie - dodała, pokazując na duży trawnik obok parkingu.

- Ja tutaj zajmę się pozostałymi dziećmi, żeby wam nie przeszkadzały.

Chance spojrzal na dwie przeraźliwie chude dziewczynki. Nie mogły ważyć więcej niż dwadzieścia kilo każda. Ramiona miały cienkie jak zapalki i brakowało im przednich zębów.

- Chcesz mi powiedzieć, że one potrafią rzucać? Chyba żartujesz.

- Uwierzysz, jak zobaczysz.

No dobrze, miał trenować dzieci, a nie być niańką.

- Niech będzie, ale nie spodziewaj się cudu. Idziemy - rzucił, podnosząc torbę z piłkami i innymi przyborami sportowymi.

- Na pewno tu trenujecie? - spytał podejrzliwie, gdy zbliżali się do trawnika.

- Tak, zawsze - wyjaśnił Chucky. - Niech pan zobaczy, nawet są ślady - dodał, pokazując wydeptaną trawę.

- Poczekajcie chwilę, muszę coś przynieść z samochodu - polecił Chance i szybko poszedł, żeby wyjąć z bagażnika książkę. - A teraz siadajcie - powiedział, gdy już był z powrotem. - Na początek zrobimy sobie małe powtórzenie.

Otworzył książkę i poszukał spisu treści.

- Punkt pierwszy - wyposażenie - przeczytał głośno, a następnie sięgnął do torby i wyciągnął z niej gumową matę. - Co to jest?

- Baza - odezwały się dzieci chórem.

- Dobrze. Punkt pierwszy zaliczony. A teraz pytanie drugie - do czego to służy?

- Trzeba kopnąć w to stopą i obiec wszystkie cztery, a potem wrócić do swojej bazy - odpowiedziała Vicky. - I wtedy się wygrywa.

- Jeszcze się nie wygrywa, najpierw trzeba biec - poprawiła ją Trish.

- Tylko głupi Peter przeskakuje bazę, zamiast ją kopnąć.

- Sama jesteś głupia. - Peter popchnął Trish, a ona mu oddała.

- Oboje macie przestać. Dzieci usłuchały natychmiast.

- Co się stanie, jeśli nie uderzycie bazy?

- Następnym razem trzeba uderzyć ją dwa razy - odpowiedział Peter, a pozostali pokiwali głowami.

Chance otworzył książkę na rozdziale „Podstawowe zasady” i głośno przeczytał, jakie są konsekwencje, jeśli nie dotknie się bazy. Potem spojrzał na swoich słuchaczy. Dzieci siedziały znudzone i robiły balony z gumy do żucia.

- A teraz wszyscy wstają. Podnieśli się z ociąganiem.

- Gorąco mi - poskarżył się Chucky.

- A ja jestem zmęczona. Chcę już do domu - jęczały dziewczynki.

- No dobrze, moi drodzy, trzeba wziąć się w garść. Zobaczymy, kto potrafi najdalej splunąć.

Natychmiast wszyscy zajęli pozycje w szeregu i rozległo się głośne siorbanie. Ślina wylądowała na trawie, butach, spływała po brodach. Zawodnicy otarli usta wierzchem dłoni i patrzyli na niego wyczekująco.

- Byliście wspaniali. Naprawdę jestem pod wrażeniem. Szczerbate buzie rozjaśniły się w szerokich uśmiechach.

Chude ramiona rozprostowały się z dumą.

- Będą z was prawdziwi zawodnicy. A teraz weźcie bazy i rozłóżcie je. Będziemy ćwiczyć rzucanie, chwytanie i bieganie z kopnięciem bazy. Kto chce rzucać jako pierwszy?

- Ja - zawołała Vicky, podskakując.

- Wiesz, jak się to robi?

- Jasne - odparła z urażoną miną.

- Trish, ty będziesz łapać, a chłopcy po kolei spróbują trafić kijem.

Dzieci zajęły miejsca. Trish przycupnęła tuż przy parkingu, a Chucky z kijem w rękach szykował się do uderzenia. Vicky zamachnęła się kilka razy na próbę, a potem rzuciła piłkę, która przeleciała ledwie połowę odległości, dzielącej ją od Trish.

- Spróbuj jeszcze raz - zachęcił ją Chance. Dziewczynka spojrzała na niego i uśmiechnęła się szeroko, a następnie zakreśliła kilka razy ręką, w której trzymała piłkę, zanim wypuściła ją z dłoni.

Chance obserwował jej lot, jak poszybowała ponad głowami dzieci, mijając zaimprovizowane boisko, i wylądowała na przedniej szybie jego samochodu, która rozprysnęła się w drobny mak.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Hanna delikatnie potrząsnęła ampułką insuliny, żeby dobrze wymieszać zawartość. Wbiła igłę strzykawki w gumową zatyczkę, wyciągnęła zawartość, a następnie ostrożnie wycisnęła powietrze ze strzykawki, zanim powtórzyła całą operację z drugą ampułką. Wytarła skórę na udzie watką ze spirytusem i zrobiła sobie zastrzyk.

Zdażyła właśnie wyrzucić puste ampułki i zużytą strzykawkę, kiedy rozległ się dzwonek. Jak zwykle Chance stawiał się punktualnie. Wyglądał wspaniale w obcisłym podkoszulku, który uwydatniał wszystkie mięśnie. Dżinsy podkreślały długość i szczupłość jego nóg, a zarzucona na wierzch niebieska koszula - kolor jego oczu. W jednej ręce trzymał butelkę wina, a w drugiej bukiet kwiatów.

Hanna cofnęła się o krok, żeby zrobić mu przejście.

- Raz jeszcze cię przepraszam za samochód - powiedziała.

- Przecież nie mam do ciebie o to pretensji.

- Wiem, ale czuję się w jakiś sposób odpowiedzialna. Dziękuję ci też za to, że byłeś taki dobry dla Vicky. Nie dość, że rozbiła ci szybę, to jeszcze pomogłeś jej posprzątać szkło i pochwaliłeś za silny rzut.

- Bo ze mnie jest w ogóle bardzo miły facet - odparł. - Poza tym ta mała rzeczywiście pokazała nie lada krzepę.

- Dziękuję za wino i kwiaty - powiedziała, zanurzając w nich nos. - Są piękne.

- Świeżutkie, prosto z twojego ogrodu. Nie mogłem się oprzeć, bo przypominają mi twoje włosy - dodał, wskazując na pomarańczowe nagietki i astry.

- Przecież tu jest chyba z sześć kolorów.

- Właśnie dlatego - odparł, a ona wzruszyła ramionami, mruczając coś o tym, że nie spotkała jeszcze mężczyzny, który potrafiłby rozróżniać kolory.

Chance poszedł za nią do kuchni i przyglądał się, jak nalewa wody do wazonu i układa w nim kwiaty. Czuła na sobie to spojrzenie i nogi robiły jej się coraz bardziej miękkie, serce waliło coraz szybciej, a palce zachowywały się jak zdrtwiałe.

- Jeszcze nie zaczęłam przyrządzać pieczeni, bo pomyślałam, że poczekam na ciebie, żeby pokazać ci, jak to trzeba robić. Musisz uzbroić się w cierpliwość.

- Oddaję się do twojej dyspozycji - powiedział, opierając się tyłem o zlew, a ona pomyślała, jaka to szkoda, że te słowa nie mogą być prawdą.

- Mam tu przygotowane wszystkie składniki. Ciekawa jestem, czy ty już kiedyś robiłeś pieczeń?

- Raz czy dwa razy w życiu.

- Byłam tego pewna. Oto będziesz miał okazję przekonać się, jak to się robi według najlepszych zasad sztuki kulinarnej. Dlatego nie popędzaj mnie w trakcie przyrządzania. Mam nadzieję, że ci się za bardzo nie spieszy?

Chance potrząsnął głową i wziął ją za rękę. Zadrżała pod wpływem jego dotyku.

- Niektórzy ludzie mają wybitny talent kulinarny - mówiła dalej, chociaż jej usta stały się nagle jak wyschnięte. - Talent i lata pracy doprowadziły mnie do perfekcji.

- Trochę się tego obawiam - odezwał się i odgarnął jej kosmyk włosów z czoła. - Jeszcze się przyzwyczaję i potem byle co mnie nie zadowoli.

- I tak powinno być. Czy wiesz, że sposób przyrządzania jest najważniejszy? Ważniejszy nawet od jakości składników. Dobre gotowanie ma w sobie coś z nauk ścisłych.

- Nie wiedziałem, ale na pewno mi to wyjaśnisz.

- Oczywiście. A teraz uważaj, bo nie będę powtarzała dwa razy. Musisz się dokładnie przyglądać.

Przecież to robi przez cały czas, pomyślał. Przygląda się jej całej i każdemu szczegółowi z osobna.

- Najpierw trzeba obrać marchew. Powoli i dokładnie, żeby zdjąć całą skórkę.

- Tak jest, zdjąć wszystko - powtórzył.

- Potem musisz wziąć ziemniaki i wymyć je starannie. W przeciwieństwie do marchwi, ziemniaki je się ze skórką. Zawiera mnóstwo witamin i minerałów. Pamiętaj, że powinieneś jeść dużo ziemniaków.

Chance tylko skinął głową posłusznie.

- Potem drobno posiekaj selery i cebulę. W ten sposób wydobywa się z nich cały aromat, przez co pieczeń nabierze smaku. Może masz jakieś pytania? - zagadnęła.

Pokręcił głową przecząco.

- Ale najważniejszym elementem jest czosnek - mówiła, wracając do stołu. - Ma on niespotykane u innych przypraw właściwości. Każdy dobry szef kuchni docenia czosnek i niemal stawia go na piedestale. Teraz zdejmujemy skórkę, która ochrania delikatne wnętrze.

- Zawsze robiłem tak, że kładłem ząbki czosnku na stole, ze skórką i tak dalej, a potem waliłem w nie dnem kubka.

- Czasami można tak zrobić, jeśli akurat masz na to ochotę, ale zapewniam cię, że niektóre rzeczy warto jest robić powoli. Możesz delektować się każdą sekundą tej czynności. Potem bierzesz taki delikatny, miękki ząbek do ręki i wyciskasz go - dokończyła niemal szeptem, patrząc na niego spod rzęs i przysuwając się bliżej.

Chance dotknął delikatnie palcem jej piersi, a właściwie miejsca, gdzie - jak domyślał się - była ukryta pod wykrochmalonym kuchennym fartuchem.

- Dlaczego to robisz? - spytał szeptem.

- Co takiego robie?

- Dobrze wiesz, co.

- Może myślę, że jesteś bardzo, bardzo głodny...

- Masz rację - odparł pochylając się, aż dotknął wargami jej szyi. - Jestem bardzo głodny.

Westchnęła, kiedy poczuła na szyi dotyk jego języka. Nie wiadomo skąd, ale wiedziała, że najbliższe minuty rozstrzygną o bardzo ważnych sprawach, o tym, co będzie między nimi w przyszłości.

- Nie musisz obawiać się o mnie - powiedziała. - Jestem świadoma tego, co robie.

Chance jęknął cicho, kiedy objęła go i przyciągnęła do siebie. Musiał z całych sił powstrzymać chęć rzucenia jej na podłogę i kochania się z nią tu i teraz. Ogarniał go jej zapach, pomieszany z aromatem wanilii, jej palce błądziły po jego włosach, piersi, wpełzały pod koszulę.

- Myślałam o tobie cały dzień - szepnęła.

- Naprawdę? - Dlaczego jego własny głos zabrzmiał tak dziwnie?

- Tak. - Odpowiedź padła cicho jak westchnienie. - Myślałam o tobie przy obieraniu czosnku, przy zdejmowaniu z niego skórki i delikatnym wyciskaniu soku, kropelka po kropelce...

Schwycił ją za rękę i tylko dzięki temu mógł wreszcie złapać oddech.

- Czego się boisz? Lepiej pocałuj mnie.

Patrzyły na niego oczy w kolorze przydymionych topazów, przykryte gęstymi firankami rzęs. Usta miała delikatne, wilgotne. Schylił się do nich i dotknął swoimi, najpierw delikatnie, jakby próbując zapamiętać ich kształt, a potem coraz mocniej, jednocześnie ogarniając ją ramionami.

Przesunął dłońmi po jej plecach i natrafił na kokardę, na którą zawiązany był fartuch. Pociągnął za koniec i wiązanie opadło. Przerwał na moment pocałunek - na tyle tylko, żeby zdjąć jej fartuch przez głowę i upuścić na podłogę. Potem rozpiął górny guzik u bluzki, a Hanna nie zrobiła najmniejszego gestu, żeby go powstrzymać. Słyszał jej głośny oddech, kiedy przesunął palce po gładkiej skórze. Potem odpiął następny guzik i jeszcze następny, a ona przymknęła oczy i odrzuciła głowę do tyłu.

Chance zsunął jej bluzkę z ramion i drżącymi palcami dotknął zapięcia stanika. Czuł się jak pirat, który po latach poszukiwań dociera wreszcie do upragnionego skarbu. Teraz Hanna obserwowała go, z tajemniczym uśmiechem Mony Lisy. Rozpiął zameczek i sięgnął do pełnych, miękkich piersi.

- Nawet gdybym chciał, nie byłbym w stanie wyprzeć się tego, jak bardzo cię pragnę - wyszeptał. - Ale pamiętaj, że muszę wyjechać stąd, jak tylko skończę pracę. Nie zostanę tu, choćby nie wiem jak dobrze było nam razem. A ty powinnaś mieć rodzinę - męża, dzieci, psa. Ja nie mogę ci niczego obiecać - dodał szorstkim ze wzruszenia głosem.

- Już przedtem mi to mówiłeś.

- Przed nami nie ma przyszłości. Jedyne, co nas może łączyć, to tylko seks.

Ciekawe, czy on wierzy w to wszystko, pomyślała. Usta miał zaciśnięte, nieprzejednane, ale w jego oczach widziała ocean pożądania, ale również ciepła i czułości. Usta kłamały, ale oczy zdradzały prawdę. Biedny Chance. Chyba będzie musiała pomóc mu odnaleźć właściwą drogę, żeby nie przegapił szansy, jaka się przed nim otwiera.

Odda mu się tylko po to, żeby związać się z nim na zawsze. Zrezygnuje z chwili przyjemności na rzecz wspólnej przyszłości w miłości i szczęściu. Przecież zasługuje na to, co najlepsze. Czyli na niego. A jemu potrzebna jest jej pomoc, żeby zrozumiał, co do niej czuje. Przecież ją kocha i nie był w stanie tego ukryć. Dlaczego upierał się, żeby ją uczyć jeździć, chociaż ona prowadzi znakomicie? Jak łatwo wybaczył jej zniszczenie samochodu, dwukrotnie nawet. Czy tak postąpiłby ktoś, kto by jej nie kochał?

No i to wspomnienie o stałym związku, o dzieciach. Magiczne słowo „pies”. Żaden mężczyzna nie wspomina o psie, jeśli nie ma poważnych zamiarów.

Wiedziała, jak mu pomóc, żeby zorientował się, że ją kocha, a nie tylko jej pożąda. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Jak szaleni pragną tego, czego akurat mieć nie mogą. Dlatego wymyśliła, że musi odmawiać mu siebie, jednocześnie naprowadzając go na myśl, że może ją mieć na zawsze. Tak jak z tym psem i wodą - spragniony pies będzie o nią błagał. I nie minie tydzień, a Chance zacznie błagać o to, żeby się z nim związała na stałe.

- Wiesz co? - powiedziała, wysuwając się z jego objęć.

- Masz rację! Przekonałeś mnie - mówiła, zbierając swoje rzeczy, wkładając szybko stanik i bluzkę. - Pragnę czegoś więcej i zasługuję na więcej.

Usiadła na krześle z drugiej strony stołu i uśmiechnęła się do niego.

- Nie miałam zbyt dużo czasu, żeby zastanowić się nad tym, co stało się - a właściwie nie stało - między nami. To nie ma nic wspólnego z faktem, że wyjeżdżasz albo w ogóle lubisz przeskakiwać z kwiatka na kwiatek. Chodzi o coś ważniejszego, bardziej znaczącego. Nie wiem, czy mogę ci to powiedzieć, bo wiem, że to zrani twoje uczucia.

- Mówisz o tym, że nie chcę się angażować? Od razu się domyśliłem.

- Angażować? Och, nie. Jesteś w błędzie. Wolałabym, żeby tak było. To znaczy nie mam do ciebie specjalnych zastrzeżeń - jesteś przystojny, miły, przyjemnie pobyć z tobą chwilę, ale to nie znaczy, że chciałabym zostać z tobą na zawsze.

- Słucham? - spytał, nie wierząc własnym uszom.

- Och, nie! Nie chcę, żebyś myślał, że w ogóle nie było mi przyjemnie, przynajmniej do pewnego momentu. Wiesz, jak to jest, tak mogłoby być między przyjaciółmi, ale jeśli chodzi o seks... sam rozumiesz.

- Nie, nie rozumiem. Wytłumacz mi, proszę.

- Chodzi mi o to, że pragnę czegoś więcej. Więcej niż ty jesteś w stanie mi dać.

- Ja? - Przeszedł na jej stronę stołu, wziął sobie krzesło i usiadł tak, że ich kolana niemal się stykały.

- No cóż, całowanie się z tobą było dość przyjemne i muszę przyznać, że przez chwilę nawet trochę podniecające. Patrząc wstecz, teraz właśnie sobie uzmysłowiłam, że najlepiej było wtedy w Mnie. Jeśli weźmiemy skalę od jednego do dziesięciu, dałabym ci sześć.

- Sześć?!

- To zupełnie dobry wynik. Nie jest to co prawda dziesięć, ale przynajmniej powyżej przeciętnej. Lekko powyżej. Potrzebujesz trochę praktyki, ale nie sądzę, żebym była odpowiednią kandydatką do twoich ćwiczeń. Jestem trochę zajęta i nie bardzo mam czas na całowanie w ramach dobroczynności.

- Żartujesz sobie ze mnie.

- Wcale nie.

- O, tak, maleńka. Jeszcze nikt nie powiedział mi, że jestem daleki od doskonałości. Kobiety zachwycają się mną i błagają o moje względy.

- Przypuszczam, że niektóre kobiety można zadowolić łatwiej niż inne - powiedziała z westchnieniem. - A ty na pewno nie wznosisz się ponad przeciętność. Powiem ci coś - gdybyśmy posunęli się dalej, odniósłbyś mylne wrażenie, że było lepiej, niż było w rzeczywistości, a to dlatego, że ja jako kobieta w skali od jednego do dziesięciu mogę być oceniana na co najmniej jedenaście, dwanaście. Potem nie mogłabym już się od ciebie opędzić, tak bardzo zależałoby ci na mojej sztuce kochania. A tymczasem mnie przypadłoby zaledwie sześć.

Nie wiedział, czy śmiać się, czy się złościć. Ona była niepoprawna - nigdy nie wiedział, co potrafi jeszcze wymyślić. I jeszcze na dodatek wciąż miał ochotę ją całować. Tym razem raczej gwałtownie.

Wstał nagle, a trącone krzesło upadło na podłogę. Hanna poderwała głowę i przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. Słyszał jej przyspieszony oddech, widział rumieniec na twarzy. Uniósł ją, aż stanęła na nogach, a potem pochylił się i bez słowa zamknął jej usta pocałunkiem, przy którym nie potrafiła powstrzymać drżenia.

Ponad jej głową zobaczył zegar kuchenny i uzmysłowił sobie, że ma spotkać się w parku z komendantem już za dziesięć minut. Jak to się stało, że zupełnie zatracił poczucie czasu? Puścił ją i ruszył do drzwi. W progu odwrócił się na moment i zobaczył, że ona wciąż stoi przy stole i patrzy za nim.

- To na razie, maleńka - rzucił i zniknął za drzwiami.

„Maleńka”? Czy w ten sposób zachowuje się mężczyzna, którego kawalerskie chwile są policzone? Nasłuchiwała, jak biegł, przeskakując po dwa stopnie, jak pośpiesznie otworzył drzwi samochodu i ruszył z piskiem opon.

Była zła. Nie potrafiła myśleć o niczym innym, tylko o tym, co się stało, a właściwie nie stało. Dosyć tego. Miała jeszcze tyle rzeczy do zrobienia.

Chwyciła torebkę i kluczyki. Pojedzie do parku pożyczyć trochę cukru. Elvin na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu. Wymyśliła sobie, że zrobi jeszcze mniejszy model ratusza, żeby dzieci mogły korzystać z tego wzoru, kiedy będą budowały swój.

Jadąc, zapewniała się raz jeszcze o tym, że postąpiła właściwie. Czowała, że gdyby przyszło jej jeszcze raz zmierzyć się z tą sytuacją, nie znalazłaby tyle sił, żeby podjąć taką samą decyzję.

Chance powoli przejechał swym pozbawionym przedniej szyby mustangiem wzdłuż parku numer sześć. Budynek, w którym mieścił się magazyn, był teraz oświetlony jak choinka na Boże Narodzenie. Stały przed nim dwie białe ciężarówki - takie same jak ta, w której znaleziono martwego Henry'ego Perkinsa, mercedes i buick.

Skręcił na parking obok szkoły, po przeciwnej stronie ulicy. Za budynkiem szkolnym czekał na niego komendant Turley i jego ludzie, w nie oznakowanych samochodach.

- Zdążyliście ustawić ukryte kamery? - spytał, wkładając broń za pasek od spodni i zasłaniając ją połami wyciągniętej koszuli.

- Jedna jest w magazynie, a druga przy drzwiach wejściowych - odparł Turley.

Kilka minut potem Chance stanął w drzwiach do magazynu. Zobaczył Elvina, z notatnikiem w ręku, jak liczy rzędy pudełek, a za nim posuwa się Mac, zaznaczając policzone kartony czerwonym flamastrem. Chance chrząknął głośno i obaj mężczyźni poderwali głowy.

- Co za spotkanie - powiedział. - Ale spodziewałem się panów dzisiaj.

Krew szybko pulsowała mu w żyłach. Podeszedł bliżej i wziął do ręki jedno pudełko. Musiał przyznać po cichu, że kiedy jego szósty zmysł pracował, robił to naprawdę na pełnych obrotach.

- Otwórz to - rozkazał Elvinowi, który zbladł jak ściana.

- To chyba nie jest konieczne - wyjąkał.

- A ja uważam przeciwnie. - Oderwał wieczko i w powietrze uniósł się biały pył, po czym zaczął opadać na podłogę. - Ale bałagan - zadrwił. - Tyle że to nie wygląda mi na cukier. Ciekawe, co też tu może być.

Elvin skoczył ku niemu, a tymczasem Mac spróbował bokiem przemknąć się do drzwi. Chance odepchnął Elvina i skoczył w pogoń za drugim przestępcą, chwytając go, zanim zdążył opuścić budynek.

- Policja, ty łobuzie - powiedział, łapiąc go za kołnierzyk koszuli. - Jesteś aresztowany.

Mac usiłował się wyrwać, obrzucając go stekiem wyzwisk, ale Chance przytrzymał go mocniej, rozplaszczając niemal na ścianie. I nagle poczuł, że cała moc, dzięki której poradził sobie z tą sprawą, opuszcza go. W drzwiach wejściowych stanęła Hanna i rozglądała się z uśmiechem.

- Cześć. Nie spodziewałam się, że zastanę tu kogoś o tak późnej porze. Co się tu dzieje? Chance, zostaw go, co ty robisz? Ja też nie przepadam za tym człowiekiem, ale czy nie jesteś trochę zbyt brutalny?

Musi się jej stąd pozbyć i to jak najszybciej. Od tego zależy ich życie.

- Wyjdź stąd.

- To nie było zbyt grzeczne.

- Uciekaj stąd.

- Nie mam zamiaru wychodzić bez co najmniej trzech kartonów z cukrem - powiedziała uparcie. - Elvin, czy byłbyś tak dobry i zaniósłbyś mi do samochodu cztery kartony? Będę ci wdzięczna za pomoc.

Elvin podskoczył do stołu, otworzył szufladę, wyjął z niej pistolet i wycelował w Chance'a.

- Puść go - zażądał.

- Co ty robisz? - zawołała Hanna, z trudem łapiąc oddech. - To naprawdę jest pistolet? O Boże, odłóż go na miejsce. Jestem pewna, że kiedy to się skończy, będziecie wszyscy żałowali, że tak się unosiliście. Przestańcie się wygłupiać, przecież to tylko cukier.

- Zamknij się - zasyczał Mac, nie spuszczając wzroku z Chance'a. - Rób, co powiedział albo on zastrzeli tę małą.

Chance puścił go i odsunął się na bok. Hanna tymczasem podskoczyła do Elvina i szarpnęła go za ramię.

- Odłóż to. Słyszysz, co do ciebie mówię? Odłóż to w tej chwili.

- Hanno, przestań, bądź wreszcie cicho. Muszę pomyśleć.

- Ty nie masz co myśleć, do myślenia potrzebny jest mózg. Nie, to nie do wiary. Byłam przeciwko temu, że w Teksasie można mieć broń, i to jest właśnie dowód na to, że miałam rację.

Podbiegła do Chance'a i stanęła przed nim, opierając się o niego plecami.

- Odsuń się od niego - powiedział Elvin.

- Nie - odparła, rozkładając ramiona i używając ciała jako tarczy. - Uważaj, to może wystrzelić.

- Hanno... - Chance próbował usunąć ją na bok, ale ani drgnęła. - Proszę, rób to, co on ci każe. Nie bój się, nic mi się nie stanie.

- Jeśli Elvin chce cię zastrzelić, będzie musiał najpierw zabić mnie. Ale robię tak tylko w twoim przypadku, Mac niech na to nie liczy. Nie mam zamiaru dla niego narażać życia.

- Nie wiesz, na co tak naprawdę się narażasz - szepnął.

- Ja tylko chcę wziąć trochę cukru. Dlaczego mi nie pozwoliliście?

- To jest heroina, do cholery! - wrzasnął Elvin. Mac skoczył do niego i wyrwał mu pistolet.

- Pod ścianę. Wszyscy. Ruszaj się, Elvin. Ty żaloszny idioto.

- Heroina? Przestańcie się wygłupiać. Myślałam, że jesteście dorośli - mówiła Hanna, a twarz jej poczerwieniała z gniewu.

Chance zakrył jej usta dłonią, chcąc uspokoić ją choć na chwilę, żeby Mac nie zaczął strzelać w złości.

- Ty zginiesz na końcu - wysyczał bandyta. - Zobacysz, jak oni umierają, i będziesz wiedziała, że to twoja wina. Zawsze włożyłaś mi w drogę. To dzięki tobie Ada została burmistrzem - bo wszyscy przepadają za jej córeczką. A teraz chcesz zniszczyć to, nad czym tak długo

pracowałem, interes wart miliony dolarów. Ale wszystko ma swój kres, także twój szczęśliwy los.

- Czy życie przeleciało ci przed oczami? - szepnęła do Chance'a, który potrząsnął głową. - Mnie też nie.

Oderwała się od niego i stanęła przed Makiem, wyciągając rękę.

- Oddaj mi to.

- Nie rozumiesz, idiotko? Tu jest heroina. Zaraz ją stąd zabiorą, a potem rozprawię się z wami.

Krzyknęła coś niezrozumiałego i podbiła rękę, w której trzymał broń, jednocześnie kopiąc go w krocze. Mac upuścił pistolet i zwinął się wpół, jęcząc z bólu.

- Zawsze byłeś nieudacznikiem - stwierdziła, otrzepując dłonie.

- Na podłogę - rozkazał Chance, stając obok niej z pistoletem wycelowanym w bandytów.

Elvin osunął się tuż przy ścianie, a Mac tylko zaklął, leżąc już na betonie.

- Nie mogę uwierzyć w to wszystko - odezwała się znów Hanna. - Skąd ty masz broń?

- Jestem z policji.

- Co takiego?

- Potem ci wytłumaczę.

- Muszę wiedzieć teraz. O co tu chodzi? Dlaczego każdy jest kimś innym? Elvin handluje heroiną, ty jesteś policjantem, a ja czym? Pewnie Kopciuszkiem? Tylko Mac jest tym, za kogo go zawsze miałam. Krowim łajnem.

Odwróciła się z niesmakiem i wyszła, mijając w drzwiach komendanta policji i jego ludzi. Jeśli Chance rzeczywiście jest tym, za

kogo się podaje, to musiał przyjechać tu z określonego powodu. A teraz pewnie ma, czego szukał, i to oznacza tylko jedno. To, o czym przez cały czas jej powtarzał. Kiedy jego praca tu się skończy, będzie musiał wyjechać.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Minęło kilka dni, a ona wciąż nie miała okazji z nim porozmawiać. Chciała usłyszeć odpowiedzi na setki pytań, ale przez tego zdrajcę, Eda, który pożyczył mu swój samochód na czas naprawy mustanga, Chance zniknął z domu na całe dni.

Nie znaczy to, że w ogóle nie widywała go przez ten czas, ale kiedy próbowała spytać o coś, zawsze okazywało się, że bardzo się śpieszy i że wszystko wytłumaczy jej później.

Tyle że to później jakoś nie nadchodziło.

Kręciła się obok domu, próbując natknąć się na niego, choćby przypadkiem. Wkładała na siebie najbardziej kuszące krótkie spódniczki, bluzki z dekoltem do pępka, czarne siatkowe pończochy. Jaki mężczyzna mógłby się temu oprzeć? Ale on jakoś potrafił.

Nie mogła sypiać, była coraz bardziej zmęczona i z trudem utrzymywała nerwy na wodzy, co chwilę zalewając się łzami. Nic jej się nie udawało - ciastka przypalały się raz za razem, róże usychały, w samochodzie strzeliła opona, nawet matka nie dzwoniła raz dziennie, tylko po kilka razy.

Jedyne, czego pragnęła, to zaledwie pięć minut rozmowy, żeby mogła zapytać go spokojnie, czy zostaje tutaj, czy też wyjeżdża. Ale dni mijały, a on nie dawał jej takiej szansy.

Wreszcie nadeszła ostatnia noc przed targami i Hanna zapadła w ciężki, wyczerpujący sen. Obudziła się rano i okazało się, że zasnęła w ten jeden jedyny dzień, kiedy nie powinna była zasnąć, bo od niej zależało przecież zwycięstwo drużyny. Ale to też była wina Chance'a, bo zasnęła na kanapie, czekając na niego, a budzik był przecież w sypialni.

Miała tylko dwadzieścia minut na to, żeby wziąć prysznic, ubrać się i dojechać do parku. Niestety, wiadomo było, że kiedy ona musi się spieszyć, na pewno coś się stanie. Tym razem nie było inaczej.

Wybiegając z domu za pierwszym razem, zorientowała się, że nie ma kluczyków. Za drugim razem była już na ulicy, kiedy przypomniała sobie, że nie wzięła jeszcze zastrzyku. Wróciła pędem do domu, zapakowała insulinę i strzykawkę do plecaka i przyrzekła sobie solennie, że zrobi zastrzyk, jak tylko dojedzie do parku. Chwyciła jeszcze kawałek chleba z serem, żeby zjeść po drodze, i po raz trzeci wybiegła z domu, zderzając się z tajnym agentem McCoyem.

- Co ty tu robisz? - zawołała, przeskakując po dwa stopnie na raz.

- Muszę z tobą porozmawiać.

Zatrzymała się i popatrzyła na niego. W jego oczach wyczytała pożądanie, ale i coś innego... może żal.

- Właśnie teraz, kiedy ja powinnam być w parku już od dziesięciu minut i dobrze o tym wiesz. A może zapomniałeś, że dziś rozpoczynają się targi?

- Nie zapomniałem i przyszedłem ci pomóc, tak jak obiecałem - wyjaśnił, spiesząc w ślad za nią do samochodu.

Otworzyła drzwi, wrzuciła plecak na tylne siedzenie i podała mu kluczyki.

- Pozwalam ci prowadzić tylko dlatego, że chcę się skupić na tym, co miałam ci do powiedzenia, i nie chcę, żeby cokolwiek mnie rozpraszało.

Przez pierwsze minuty jazdy musiała wziąć się w garść i uspokoić rozdygotane nerwy. Dopiero potem zaczęła wyrzucać z siebie to, co narastało w niej od kilku dni.

- Wiem, że jestem ci winien wyjaśnienie i przeprosiny - wtrącił Chance.

- I owszem. Ale nie musisz przeproszać za swoje działania jako tajny agent. To nie twoja wina, że nie jesteś Jamesem Bondem. Przypominasz mi raczej inspektora Clouseau z filmów o Różowej Panterze, chociaż nawet on potrafił doprowadzić swoje zadanie do końca. - Poklepała go pocieszającym gestem po kolanie. - Nie martw się. Nie każdy może być Bondem.

- Rzecz w tym, że do tej pory byłem Bondem. Po prostu przy tobie staję się inspektorem Clouseau.

- Pewnie chodzi ci o ten cios karate, którym powaliłam Maca? Twoje męskie ego na tym ucierpiało?

- To nie jest do końca tak - powiedział, wjeżdżając na parking i zatrzymując samochód. - Słuchaj, porozmawiajmy po targach. Widzę, że już na ciebie czekają. Czy miałaś jakiś alternatywny plan, oprócz budowania ratusza?

- Zawsze mam alternatywny plan - odparła dumnie i pośpieszyła do dzieci.

Ręce jej się trzęsły, pot wystąpił na czoło, więc otarła je chusteczką. Stała przed zgromadzoną dzieciarnią i popatrzyła na nich. Wszystkie oczy wpatrzone były w nią z uwagą.

- Pewnie słyszeliście już, co się tu stało kilka dni temu?

- Rozległ się szmer cienkich głosików, więc poczekała, aż się uciszyło. - Musimy trochę zmodyfikować nasz plan. Zamiast cukru użyjemy pudełek z cukierkami. To nawet lepiej, bo mamy do dyspozycji różne wielkości i kolory. Jak wam się to podoba?

Podobało się, tak jak się tego zresztą spodziewała. Chance pomógł im wyjmować pudełka z magazynu, a ona powtarzała co chwilę, że nie wolno im wyjmować cukierków ani tym bardziej ich jeść. Oficjalne rozpoczęcie targów miało nastąpić o jedenastej, więc zostały im trzy godziny na zbudowanie modelu, co powinno było w zupełności wystarczyć.

Dzieci nie byłyby dziećmi, gdyby nie próbowały odwrócić jej uwagi i wykradały cukierki, wyrzucając puste pudełka do śmieci. Po jakimś czasie okazało się, że nie wystarczy im materiału.

- Pani trener, proszę to zobaczyć - dobiegały zewsząd nawoływania.

- Peter zjadł wszystkie cukierki z likworem!

- Wcale nie, kłamiesz - odkrzyknął obwiniony.

- Niezły masz tu rozgardiasz - powiedział komendant Turley, podchodząc do niej. - Ale ten model wygląda całkiem, całkiem.

- Dzięki - odparła, przyciskając palce do skroni. W głowie pulsowało jej nieznośnie i zaczęła obawiać się, że zemdleje.

- Co do tamtego zdarzenia...

- Nic nie mów. Po prostu zjawiłam się we właściwym czasie, ale za to w złym miejscu. A może odwrotnie. Sama nie wiem.

Ręce jej się trzęsły, a na ciele wystąpił zimny pot.

- Proszę pani!

Spojrzała w dół i zobaczyła, że mała Vicky ciągnie ją za spódnicę.

- Proszę pani, muszę iść do łazienki. Jest mi niedobrze.

- Ach, tak. Do łazienki.

Objęła małą ramieniem, podtrzymując ją i jednocześnie pomagając sobie zachować równowagę. Musiała jeszcze znaleźć Chance'a.

- Idę z Vicky do łazienki - powiedziała. - Dopilnuj stoiska i staraj się, żeby dzieci nie zjadły tej reszty, która została, dobrze?

Potem pochyliła się, żeby wziąć swój plecak, i kiedy podnosiła się, doznała takiego zawrotu głowy, że o mało nie upadła. Dłonie miała zimne i spocone. Wzięła Vicky za rękę i nie zwracając uwagi na nieustające pytania i wołania, poszła z nią prosto do łazienki, mieszczącej się w budynku informacji turystycznej.

Vicky weszła do jednej kabinki, a ona sama do drugiej. Oparła się o drzwi i wypuściła z ręki plecak. Resztkami sił otworzyła go i wyjęła pudełko z insuliną. Po kilku nieudanych próbach wbiła igłę w ampułkę, a następnie w drugą, tym razem nabierając więcej insuliny niż zazwyczaj, ponieważ termin porannego zastrzyku minął już dość dawno.

Automatycznie, niemal na oślep wbiła igłę w udo i wstrzyknęła insulinę. Potem wyrzuciła strzykawkę, otworzyła drzwi kabiny, spróbowała zrobić parę kroków i runęła ciężko na zimną posadzkę.

- Pani trener! - wrzasnęła Vicky, wyskakując ze swojej kabiny.

Puszczane gwałtownie drzwi uderzyły z hałasem o ścianę.

- Zawołaj Chance'a.

- Niech pani nie umiera - zawołała dziewczynka przez łyzy.

- Proszę, poszukaj go.

Nie miała zamiaru umierać, ale gdyby tak się stało, nie chciała, żeby myślał, że to przez niego. Chciała też mu powiedzieć, że go kocha. To nie mogło czekać.

- Idź, zawołaj go.

Zobaczył, że pędzi w jego stronę jakaś dziewczynka. Vicky! Złapała go za nogi, podnosząc w górę zapłakaną buzię.

- Trener Hanna umiera. To na pewno przeze mnie. Robiła sobie zastrzyk, a potem popatrzyła na mnie i upadła na podłogę.

Zrobił się szum, wszyscy przerwali swoje zajęcia. Nie wiadomo skąd zjawiała się przy nich Ada Hart. Chance odczepił od paska telefon komórkowy i podał jej.

- Proszę dzwonić na pogotowie. Z Hanną jest niedobrze.

Wyrwał jakiemuś dziecku niedojedzony baton i pobiegł do łazienki. Hanna leżała na podłodze, ręce miała przyciśnięte do brzucha, jedną nogę zgiętą w kolanie, a drugą wyprostowaną. Przyklęknął przy niej i przyłożył ucho do jej piersi.

- Nie, proszę - jęknął, słysząc, jak słabo bije jej serce. - Boże, nie.

Usiadł na podłodze i wziął jej głowę na kolana. Ułamał kawałeczek czekolady i wsunął jej do ust.

- Proszę, spróbuj to przełknąć. Postaraj się - mówił błagalnym tonem.

- Zaraz będzie karetka, już za chwilę. Właśnie słyszałem syrenę.

Hanna nie poruszyła się, tylko powieki drżały jej leciutko.

- Nie zostawiaj mnie, proszę. Kocham cię. Dlaczego to robisz akurat wtedy, kiedy wreszcie wyznałem ci miłość? Nie wolno ci odejść. -

Trzymał ją w objęciach i kołysał tam i z powrotem. - Kocham twoje

wypieki. Kocham, kiedy prowadzisz samochód. Możesz nawet mówić, że jestem poniżej średniej, tylko mnie nie zostawiaj.

Wreszcie pojawiło się pogotowie i młoda sanitariuszka przybiegła z przygotowanym zastrzykiem z glukozy.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała, wbijając igłę w ramię Hanny. - Takie rzeczy czasami się zdarzają, nawet przy zachowaniu środków ostrożności.

Chance poczuł, że czyjaś ręka dotyka jego ramienia.

- Chodźmy, niech lekarz się nią zajmie - powiedziała Ada. - Zobacz pan, jak szybko się pozbiera. Przechodziłam już przez to kilkakrotnie.

Na zewnątrz wszyscy stali w milczeniu, niektóre dzieci płakały. Nikt nie chciał odejść, dopóki nie okaże się, jak się czuje Hanna. Kiedy wreszcie ukazała się na noszach, zgromadzeni utworzyli szpaler od drzwi aż do karetki, a potem stali i patrzyli, jak odjeżdża.

- Dziękuję, że pan ją uratował - powiedziała mu Ada. - Bałam się, że może być za późno.

Późnym popołudniem Chance przechadzał się niecierpliwie po pokoju, od czasu do czasu spoglądając na siedzącą na kanapie kobietę, która dopiero co wyszła ze szpitala, a już ma ochotę prowadzić poważne rozmowy. Skąd ona bierze tyle siły?

- Dlaczego nie powiedziałeś mi od początku, że jesteś tajnym agentem czy czymś tam w tym rodzaju? - spytała, patrząc na niego wielkimi, poważnymi oczami.

- Nie mogłem, to była tajemnica. Westchnęła i odwróciła wzrok.

- Czy jest jakakolwiek możliwość, że tutaj zostaniesz?

- Nie. Tak jak ci powiedziałem pierwszego dnia, kiedy tylko się poznaliśmy.

- Mówiłeś też, że mnie kochasz.

- Słyszałaś? Skinęła tylko głową.

- Myślałem, że umierasz.

- Czy to coś zmienia?

- Nie. - Usiadł przy niej i wziął ją za rękę. - Pamiętasz, co ci mówiłem o mojej siostrze?

Znów skinęła głową.

- Kiedy ojciec zmarł, mama musiała pracować na dwóch etatach, żeby nas utrzymać. Nie miał kto zająć się Niną i wpadła w złe towarzystwo, zaczęła opuszczać szkołę, brać narkotyki. Mama tego nie wiedziała, ale ja zacząłem się domyślać. Tyle że nic nie powiedziałem. Kiedy Nina przedawkowała, zrozumiałem, że też jestem winien jej śmierci, bo nie zareagowałem na to, co robiła. Powinienem był ją powstrzymać.

- Nie możesz odpowiadać za drugiego człowieka. To Nina zdecydowała, co robić ze swoim życiem.

- Nie rozumiesz mnie. Mam coś w rodzaju szóstego zmysłu. To jest we mnie, w środku. Czasami wiem, co ma nastąpić. Wtedy też przeczuwałem, tyle że byłem zbyt zajęty własną pracą i szkołą. A tamto starałem się odsuwać od siebie.

Patrzyła na niego wzrokiem pełnym współczucia.

- Dzwonił mój szef. Mój urlop znów jest odsunięty w bliżej nie określonej przyszłość. Muszę wracać do Waszyngtonu, żeby zająć się sprawą, w której niezbędny jest właśnie mój szósty zmysł.

- Więc wyjeżdżasz? - spytała, patrząc na swe dłonie, złożone na kolanach.

- Nie mogę tu zostać. Sensem mojego życia jest praca. Muszę być tam, gdzie mogę pomóc ludziom pozbyć się gnębiącej ich plagi.

- Jak szlachetnie z twojej strony.

- Kiedyś też tak uważałem, ale tutaj stało się coś jeszcze. Mój instynkt działał prawidłowo, ale tylko wtedy, kiedy ciebie nie było w pobliżu. Wtedy, w nocy, wiedziałem i czułem, gdzie jest heroina, ale potem ty weszłaś i wszystko zniknęło.

- A może stwarzasz sobie taką wymówkę, bo to ja obezwładniłam Maca, a nie ty?

- Nie żartuj, mówię poważnie. Jak mogę zostać tu, kiedy niweczysz moje siły? Kiedy przy tobie zanikają moje zdolności, nie działa instynkt?

- Pewnie nie możesz. Widziałam, że masz już samochód. Kiedy chcesz wyjechać?

- Niedługo.

- Czy to będzie wielkie zuchwalstwo z mojej strony, jeśli poproszę cię, żebyś zrobił mi dziś kolację? Nie wiem, czy sama sobie poradzę, a oprócz tego to może być dobra okazja, żeby się pożegnać.

Jego kuchnia była tak mała, że co chwilę ocierali się o siebie. Hanna pomyślała ze smutkiem, że to za mało. Pragnęła być jeszcze bliżej niego, zamknąć oczy, przytulić się. Ale nie mogła tego zrobić.

- Kolacja gotowa - oznajmił Chance, kończąc płukanie sałaty. - Mogłabyś wyjąć z lodówki sos do sałaty? - poprosił.

- Nie widzę żadnego sosu - powiedziała, zaglądając do środka.

- Jest na drugiej półce, w miseczce. Sam robiłem.

- Widzę, że masz zdolności kulinarne.

- Nie tylko - odparł z dwuznacznym uśmiechem.

Na chwilę zapadła cisza. Hanna usiadła przy stole, a on podszedł blisko niej, aż poczuła, jak robi jej się gorąco.

- Dużo myślałam - odezwała się wreszcie.

- O, naprawdę?

- Jest jeszcze tyle do powiedzenia - mówiła dalej spokojnie, nie zwracając na niego uwagi.

Chance najwyraźniej jednak nie chciał jej słuchać. Pochylił się i uniósł jej nogę, a następnie umieścił ją sobie na kolanach. Zaczął gładzić jej łydkę, stopę, a następnie uniósł ją do ust.

Nie poruszyła się. Nie mogła się ruszyć. Mięśnie stały się jak galareta, mózg zamienił w papkę. Jęknęła, kiedy jego usta powędrowały wyżej, wzdłuż uda, a jednocześnie ręka gładziła drugą nogę, palce wślizgnęły się pod bieliznę. On zsunął się z krzesła i ukląkł przy niej, żeby być bliżej i móc ją pieścić.

Hanna rozpięła mu pasek od spodni i powoli opuszczała suwak. Tymczasem on wyjął z kieszeni prezerwatywę i niecierpliwie szarpnął zębami opakowanie. Potem zdjął z niej bluzkę i bieliznę, objął wargami czubek jednej piersi, a palcami zaczął pieścić drugą.

- Czy mówiłem ci, jaka jesteś piękna? - odezwał się cicho.

- Nie, nigdy.

- Jesteś piękna, słodka, dobra. Jedyna w swoim rodzaju.

Teraz znów ją całował - usta, szyja, piersi. Wziął ją na ręce i przeniósł na łóżko. Jej ciało wyginało się jak struna pod jego dotykiem, chciało eksplodować, ale jednocześnie pragnęła, żeby ta chwila trwała wiecznie. Ruchy stawały się coraz szybsze, mocniejsze, aż dobiegła kresu pogoń za ulotną chwilą wyzwolenia.

Potem Chance przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie, przycisnął do serca.

- Dziękuję ci za wszystko - powiedział cicho. - Będzie mi ciebie brakowało, kiedy stąd wyjadę. Bardzo chciałbym tu zostać, bo nigdy nie było mi tak dobrze, jak teraz.

Bez słowa pogłaskała go po włosach, a on przymknął oczy i zasnął. Patrzyła na niego, myśląc o tym, że chciałaby mieć czarodziejską moc, dzięki której mogłaby go zatrzymać.

Pocałowała go delikatnie w policzek i wyślizgnęła się z łóżka. Ubrała się powoli i podeszła do drzwi. Otwierając je, odwróciła się, by po raz ostatni spojrzeć na niego, a potem wyszła.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Cóż tu tak pięknie pachnie?

Chance zajrzał do kuchni z uśmiechem przyklepionym do warg, ale wzrok miał pełen niepokoju.

- Nasz wspaniały mistrz patelni znowu dokonuje cudów. Zobaczmy, co to może być... Pączki, tak? Chyba zgadłem. Tyle że tym razem zamiast smażyć je w niezdrowym tłuszczu, nasza mistrzyni upiekła je. Mam rację? Pamiętajcie, że do ciast nie daje się już mąki. Ani nawet naleśników w proszku. Nie, to takie pospolite. Teraz stosujemy mamałygę. I żeby wypieki były naprawdę zdrowe, polewę czekoladową sporządzamy z glukozy i odpowiedniego barwnika. Nie zapomnijcie też o wodzie.

- Bardzo śmieszne - powiedziała Hanna, nie śmiejąc się. - To będą twoje ulubione ciasteczka.

- O, nie - jęknął, przerażony. Hanna spojrzała na niego z ukosa.

- Wiesz co? - powiedziała nagle. - Zasłużyłeś na wszystko, co cię spotkało. Nawet ten złamany ząb. Na początku było mi cię żal. Mówiłam sobie, że jesteś tu samotny w obcym mieście, masz zniszczony samochód... Miałam w tym jakiś udział, ale kto może wiedzieć, w jakim stanie on był, zanim w niego uderzyłam.

- Mówiłem ci, że masz zadzwonić do Elvina zaraz po tym, jak to się stało. Teraz twój agent siedzi, w jego firmie jest kontrola i Bóg jeden raczy wiedzieć, kiedy sprawy się wyjaśnią.

Hanna zakręciła wodę i zaczęła czyścić tacę.

- Ed naprawił ci samochód, prawda? I nie wziął ani grosza. My tu w Sugar Land pomagamy sobie nawzajem.

Przestał żartować, oparł się o ścianę i popatrzył na nią poważnie.

- Dlaczego odeszłaś? Myślałem, że zobaczę cię, kiedy dziś się obudzę.

- Nie mogłam zostać u ciebie. To by znaczyło, że coś nas łączy, a przecież tak nie jest - odparła, wycierając ręce w ścierkę. W końcu podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - To ty odchodzisz ode mnie.

Dotknął jej ramienia, ale strząsnęła jego rękę. Podeszła do stołu i usiadła na krześle, kładąc nogi na drugim, żeby nie mógł usiąść zbyt blisko niej. Chance poradził sobie jednak, gdyż uniósł jej nogi i po prostu usiadł, kładąc je sobie na kolanach, chociaż próbowała mu się wyszarpnąć.

- Nie chciałem cię skrzywdzić - powiedział cicho.

- Nic się nie stało - odrzekła z pośpiechem. - A teraz muszę wstać, bo jeszcze tyle mam do zrobienia. Przyjemnie byłoby tak sobie siedzieć i gawędzić, ale czas ucieka.

- Co takiego masz do zrobienia?

- Za pół godziny będą tu dzieci, żeby świętować wczorajsze zwycięstwo. Stoły mam przygotowane, ale jeszcze zostało mnóstwo drobiazgów. Trzeba zanieść ciastka, nalać poncz...

- Chcesz powiedzieć, że po tym wszystkim, co się z tobą działo, jeszcze urządzasz kinderbal?

Co go to właściwie obchodzi? Przecież on nie jest z nią związany, przecież wyjeżdża.

- Nic mi nie będzie - powiedziała, uśmiechając się uspokajająco, po matczynemu. - Poradzę sobie ze wszystkim.

- Sama nie wiesz, co mówisz.

- Myśl sobie, co chcesz. Zostaniesz na przyjęciu, prawda?

- Nie mogę.

- Dzieci chcą pożegnać się z tobą. Bardzo cię polubiły.

- Ja też je lubię, chociaż są takie małe.

- Ale czasami silne. Oboje się roześmieli.

Chance wziął ją za rękę. Jej dłoń była taka miękka, delikatna. Nie mógł dłużej zwlekać.

- Hanno... - zaczął.

- Tak? - Z jej wzroku też zniknął śmiech.

- Kiedy powiedziałem, że nie mogę zostać na przyjęciu, chodziło mi o to, że już mnie tutaj nie będzie. Właśnie wyjeżdżam. Przyszedłem się pożegnać.

Spojrzała w dół, na ich złączone dłonie, i myślała o minionej nocy, kiedy to dała spragnionemu psu łyk wody. Ale widocznie on nie był aż tak bardzo spragniony, bo w przeciwnym razie nie chciałby wyjeżdżać.

- Pamiętaj tylko, że tu nie chodzi o twoją chorobę - mówił dalej. - Ona nie ma absolutnie nic do rzeczy, a ja nie jestem Dave. Chodzi wyłącznie o moją pracę.

- Wierzę ci. To ja jakoś nie potrafię wybrać właściwego mężczyzny.

- Uważasz, że ja jestem niewłaściwy?

- Och nie, nie zrozum mnie źle. Zawsze będę cię wspominać i wracać myślami do wspólnie spędzonych chwil. Kto wie, może nawet zdecyduję się opowiedzieć o tym moim dzieciom.

- Jakim dzieciom?

Myśl, że ona miałaby dzieci z jakimś innym mężczyzną, sprawiła mu ból. On odchodzi, a ona już myśli o dzieciach.

- Moim dzieciom, ty głuptasie - odparła. - I na pewno zadbam, żeby mój następny wybranek nie był tajnym agentem.

- A co, masz już jakiś pomysł?

- Jaki pomysł?

- No, na tego następnego wybranka. To zresztą nie moja sprawa, ale wiesz przecież, że życzę ci jak najlepiej.

- Ja też pragnę, żeby życie potoczyło ci się szczęśliwie. A co do wybranka... tak, myślałam o paru kandydatach i nawet poprosiłam komendanta Turleya, żeby sprawdził ich w swoim komputerze. Lepiej zawczasu wiedzieć, z kim będzie się miało do czynienia.

Nie podobał mu się ten jej uśmiech. Jeszcze drzwi za nim się nie zamknęły, a ona już myśli o jego następcy.

- Chciałabyś przyjechać do mnie na parę dni?

Sam nie mógł uwierzyć, że powiedział coś takiego. Jeszcze nigdy nie zaprosił do siebie żadnej kobiety. Chyba mu nie odmówi?

- Nie, raczej nie. Wydaje mi się, że to nie byłby dobry pomysł. Ty masz swoje życie, a ja swoje.

- Nie mogę tu zostać.

- Wiem. Kiedy jestem przy tobie, nie działa twój szósty zmysł.

- Mogę przez to zginąć.

- Jasne. W Sugar Land na każdym kroku czyha śmiertelne niebezpieczeństwo. Wiesz, już o różne rzeczy mnie oskarżano, ale nigdy o to, że dybię na czyjeś życie. Dave nie zginął przeze mnie, tylko dlatego, że próbował zdjąć spodnie na wyciągu krzeselkowym, żeby kochać się ze swoją sekretarką. Wtedy spadł i zabił się. Ja nie miałam z tym nic wspólnego. Wcale nie chcę zatrzymać cię tutaj. W końcu jesteś obywatelką, a ja cóż - prowincjonalną gęsią. Mogę być błyskotliwa, mieć iloraz inteligencji powyżej stu sześćdziesięciu, ale to nie znaczy, że mężczyzna zaraz musi chcieć związać się ze mną na stałe.

- Chciałbym, żebyś wiedziała, że gdybym miał związać się z kimś na stałe, to mogłabyś być tylko ty.

- Dziękuję, to było miłe, ale ja nie wiem, czy chciałabym związać się z tobą. Było nam przyjemnie, ale to wciąż tylko siedem i pół.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Tak myślisz?

- Oczywiście.

- Może i masz rację. Widzisz, potrafisz przejrzeć mnie na wylot. Słyszysz? Dzieci już idą. Czy mógłbyś pomóc mi wynieść na dwór te ciastka, szybko uściskać mnie na pożegnanie i jechać? Jeśli chcesz, napisz do mnie albo lepiej wyślij e-mail.

- Co takiego?

- No wiesz, poczta elektroniczna, przez komputer.

Nie potrzebowała tłumaczyć mu, co to jest. Posługiwał się pocztą elektroniczną, zanim ona jeszcze wyrosła z pieluch. Zaskoczyło go tylko to, że tak łatwo z niego zrezygnowała, że poddała się właściwie bez walki. Nie zależy już jej na nim?

Powinien się cieszyć, więc dlaczego czuje swój żołądek związany na supeł?

Pomógł jej zanieść tace do ogrodu. Zjawiała już się chyba cała drużyna, mnóstwo innych dzieci i ich rodzice. Widział, że matki też przyniosły ciasta, tłumacząc się, że nie wiedziały, czy Hanna będzie w stanie coś upiec.

Przybyła też Ada, komendant z całym chyba posterunkiem, Freddy, nawet siostry Fritz-Simmons. Ada podeszła do niego i podała mu szklaneczkę ponczu.

- Spisał pan się zupełnie dobrze. Zwłaszcza jak na Jankesa - przyznała.

Nagle Hanna użyła swego gwizdka i wszyscy zamilkli.

- Moi drodzy, wszyscy znacie tego oto tutaj Chance'a McCoya, który zdążył stać się bohaterem dnia. Czy uwierzylibyście, że on jest tajnym agentem policji, jak James Bond? No, coś w tym rodzaju. Właściwie mogliśmy się domyślić, że on ma niewiele wspólnego z rekreacją, bo był chyba najgorszym trenerem, jakiego widziało nasze miasto, prawda?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a ona uśmiechnęła się do niego jakoś tak bezosobowo.

- Chance właśnie próbował wyjechać, zanim się zjawiliście. Przyznał mi się, że nienawidzi pożegnań. Uszanujmy jego życzenie i pożegnajmy go bez zbytniego rozwlekania, dobrze?

Potem zaczęły się przemówienia. Jak na Teksas, to i tak trwało krótko, nieco ponad pół godziny. On też musiał zabrać głos, za czym nie przepadał, zwłaszcza kiedy nie był przygotowany.

- Dziękuję wam - powiedział krótko. - Bardzo mi się tu podobało. Dzieciaki, wycierać nosy.

- Ja nie smarkam - odezwał się jakiś malec.

- Pewnie, że tak - docięła mu Vicky. Oj, ta Vicky. Długo będzie ją pamiętał.

W końcu mógł udać się po walizki. Kiedy zabierał je z pokoju, jego wzrok padł na łóżko - nie posłane, przywołujące wspomnienie tego, jak się na nim kochali. Przesunął ręką po poduszce, na której opierała się przedtem jej głowa, i podniósł rudy włos. Szybko zawinął go w serwetkę i włożył do portfela.

Schodził powoli po schodach, szukając Hanny wzrokiem wśród zgromadzonych. Postawił walizki na ziemi przy swoim samochodzie i poszedł jej szukać. Wreszcie znalazł ją, rozmawiającą wesoło z jakimś młodym człowiekiem w mundurze oficera. Czyżby kandydat na następcę?

- Czy mogłabyś przesunąć samochód? Nie mogę wyjechać.

- Ależ oczywiście, tylko muszę przynieść kluczyki. Zaczekaj, Joey, zaraz wrócę - dodała, uśmiechając się promiennie do swojego towarzysza.

- Wszyscy uwaga! - zawołała. - Chance odjeżdża. Ustawmy się w szeregu i pokażmy, jak potrafimy machać na pożegnanie.

Pobiegła do domu, przystając na chwilę na schodach, żeby spojrzeć za siebie. Tłum gości odprowadzał go do samochodu, a on wcale nie wyglądał na szczęśliwego.

- Hanno, to ty? - Ada wyjrzała z kuchni. - Trzymasz się jakoś?

- Wiesz, on jednak odjeżdża - powiedziała Hanna smutno. - Od początku miałaś rację.

- Może wcale nie, kochanie.

- Ale to nie była pomyłka, na pewno nie. On po prostu nie może sobie znaleźć miejsca i myślałam, że mu w tym pomogę. Nie udało się. Może nigdy nie znajdzie tego, czego szuka.

- Pożegnaj się z nim i zacznij wszystko od nowa - poradziła matka, obejmując ją. - Całe życie przed tobą.

- Kocham cię, mamo.

Zbiegła na dół i podeszła do miejsca, gdzie Chance czekał na nią przy swoim pięknym mustangu Shelby z 1965 roku, o klasycznej linii i lakierze koloru wiśni. Tak, on bez wątpienia kocha ten samochód. Tacy są mężczyźni!

- Pocałuj mnie jeszcze raz na pożegnanie - powiedziała.

- Bałem się, że nie będziesz chciała.

Objął ją, a ona zarzuciła mu ręce na szyję. Czuła jego wargi, tak już znajome, i wiedziała, że cokolwiek by jej powiedział, nie uwierzy mu, że chce od niej odejść.

Chance przyglądał się jej, jak wsiadała do samochodu, raz jeszcze podziwiając piękno jej nóg. Włożyła kluczyk do stacyjki i usłyszał znajomy odgłos diesla, a potem odwrócił się, żeby wziąć walizki i umieścić je w bagażniku. Ludzie wołali coś na pożegnanie, ale nagle wszystko zagłuszył odgłos uderzenia.

Odwrócił się błyskawicznie i jeszcze zdążył zobaczyć, jak opancerzony zderzak volvo raz jeszcze wbija się w biednego mustanga.

Hanna leżała bezwładnie na kierownicy. Wszyscy umilkli, słychać było tylko syczenie dochodzące z chłodnicy. Boże, czy ona nie żyje? To on jest wszystkiemu winien. Przecież nie chciał odejść, był tylko zbyt uparty, żeby przyznać, że boi się zaczynać wszystko od nowa. Teraz zaś modlił się o jeszcze jedną szansę, żeby znów wystartować. Ale tylko z nią.

Szarpnął drzwi samochodu.

- Hanna? Odezwij się. Proszę, powiedz coś do mnie. - Sięgnął do środka i zaczął obmacywać jej ciało, szukając złamań. - Czy gdzieś cię boli? A może zapomniałaś o insulynie? Jadłaś coś dzisiaj?

Hanna jęknęła cicho.

- Boli cię? Gdzie jesteś ranna?

- Czy ja jestem w niebie?

- Przecież ty żyjesz.

- To niemożliwe. Muszę być w niebie, bo tylko tam ktoś mógłby zadawać pytania jak moja mama, ale za to głosem Chance'a.

Roześmiał się. Ona jest szalona. Jak mógł w ogóle myśleć o tym, żeby ją zostawić? Chyba stracił rozum. Przecież ona nie poradzi sobie bez niego. Nie, to nieprawda, to on sobie nie poradzi.

- Możesz się trochę przesunąć, żebym mogła wysiąść? Dziękuję - mówiła, opierając się na jego ramieniu. - Wiesz, że nie mam w tej chwili ważnego ubezpieczenia, ale to nie była moja wina. Żeby Czołg ruszył, muszę zawsze najpierw włączyć wsteczny...

Popatrzył na biednego, martwego mustanga. Nie odczuwał gniewu, może tylko smutek. Przyciągnął Hannę do siebie i zdał sobie sprawę, że oto pierwszy raz od dawna, może od śmierci ojca, doznał uczucia spokoju.

- Kiedy pomyślałem, że nie żyjesz, sam chciałem umrzeć. Myślałem, że zwariuję, jak mówiłaś o moim następcy. O właśnie, co to za Joey?

- Nie ma żadnego następcy. Nawet nie wiem, kto to był.

- Kiedy mówiłem ci, że cię kocham, nie wiedziałem, czy mnie słyszysz. Ale nie cofnąłbym ani jednego słowa. Kocham cię nad życie.

- Ja też cię kocham. W skali od jednego do dziesięciu będzie tego tak z pięćdziesiąt.

- Dlaczego tylko pięćdziesiąt?

- Chciałbyś sto? Na to trzeba zapracować. Jak myślisz, uda ci się?

- Z tobą zawsze.

RS